

# Kay Thorpe

*Milionowy spadek*

The Billion-Dollar Bride

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyobrażała sobie, że Ross Harlow będzie starszy, tymczasem mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Opalona twarz, wyraziste rysy, gęste, ciemne, krótko przycięte włosy. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dobra sylwetka. I świetnie skrojony garnitur.

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów, ale szare oczy nic nie zdradzały. Wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Jak czuje się... mój dziadek? - zapytała.

- Stosunkowo dobrze. Trudno spodziewać się cudów. - Zerknął na wózek, na którym stała jedna jedyna walizka. - To wszystko?

- Przyjechałam na krótko - odparła Gina. - Nie przyjechałabym w ogóle, gdyby rodzice nie nalegali.

- Mieli rację.

- Bo to porządni ludzie. Wzruszył obojętnie ramionami.

- Zapewne. Mam tu samochód.

Wziął walizkę z wózka, zostawiając go bez troski na środku hali przylotów, i ruszył do wyjścia tak energicznie, że Gina z trudem mogła dotrzymać mu kroku. Jego zachowanie pozostawiało wiele do życzenia, ale rozumiała to: w jej żyłach płynęło znacznie więcej krwi Harlowów niż w jego.

Przed lotniskiem, na pasie, gdzie obowiązywał zakaz parkowania, czekała czarna limuzyna. Szofer w liberii otworzył przed Gina drzwi. Skórzane fotele, gruba wykładzina na podłodze... Nie tego się spodziewała. Ostentacyjnie luksusowe auto jakoś nie pasowało do Rossa Harlowa, ale co ona mogła wiedzieć? Żyła w zupełnie innym świecie, miała inne doświadczenia.

- Rozumiem, że pan też jest adoptowanym dzieckiem? - zagadnęła Gina, kiedy ruszyli.

Skinienie głową.

- Miałem czternaście lat, kiedy moja matka wyszła za Olivera, a siostra dziewięć. Oboje nas adoptował.

- Pański ojciec nie miał nic przeciwko temu?

- Ojciec wtedy już nie żył.

- Przepraszam.

- Nie ma za co przeproszać. Oliver był bardzo dobrym mężem dla mojej matki i troskliwym ojcem dla mnie i Roxany.

- Lepszym niż dla własnej córki. - Ross chciał coś powiedzieć, ale Gina pokręciła głową, nie dopuszczając go do słowa. - Wiem, ona nie żyje. Wszystko wyjaśnił w swoim liście. Zmusił ją, żeby mnie oddała zaraz po urodzeniu. Jego ówczesna żona, a moja babka, zmarła rok po tym, jak Jenny zginęła w wypadku. Z pana matką ożenił się dwa lata później.

Ross patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, z niejakim zainteresowaniem.

- Bardzo spokojnie mówi pani o tym.

- Nie widzę powodu ronić łez nad zdarzeniami sprzed dwudziestu pięciu lat. Mam wspaniałych rodziców.

- Musiała pani nieraz zastanawiać się, kim są prawdziwi rodzice.

- Czasami - przyznała. - Ale nigdy nie zamierzałam ich szukać. Kiedy miałam kilka miesięcy, przenieśliśmy się do Anglii. - Zamilkła na chwilę.

- W liście Harlowa nie było ani słowa o moim ojcu biologicznym.

Ross wzruszył ramionami.

- Widocznie Jenny nikomu nie zdradziła kto to.

- Spojrzał znowu na Ginę tym swoim uważnym, oceniającym spojrzeniem. - Jest pani bardzo do niej podobna. Te same jasne włosy, zielone oczy, pełne usta. Znam ją ze zdjęć - dodał.

Gina pomimo wszystko poczuła ukłucie bólu, choć nie chciała rozpamiętywać przeszłości: co było, minęło, i kropka. Musi myśleć o chwili obecnej.

- Wiedział pan, że miała dziecko? Pokręcił głową.

- Dowiedziałem się dopiero wtedy, kiedy Oliver powiedział mi, że napisał do pani.

- To musiał być prawdziwy szok.

- Owszem - odparł sucho.

- Nie zamierzam zgłaszać żadnych roszczeń, jeśli to pana niepokoi. Wystarcza mi to, co mam.

- Ma pani, zdaje się, butik... - Nie mogło to zabrzmieć bardziej lekceważąco.

- Połowę butiku, mówiąc ściśle. Przy imperium Harlowów moje aktywa prezentują się żałośnie, ale mam co robić i z czego żyć. Kiedyś zdarzyło mi się zatrzymać w jednym z waszych hoteli - dodała bezbarwnie. - Bardzo ładny.

Ross powściągnął uśmiech.

- Staramy się. Będzie pani mieszkała, oczywiście, w domu.

- Pańska matka nie ma nic przeciwko temu?

- Nie zgłaszała obiekcji.

- Pan też tam mieszka? - zapytała i zobaczyła na jego twarzy znowu ten sam powściągany uśmiech.

- Mam penthouse w naszym hotelu w Beverly Hills.

- Jak na kawalera przystało.

- Skąd pewność, że jestem kawalerem?

- My, stare panny, wyczuwamy natychmiast takie rzeczy.

Tym razem nie próbował nawet powściągać uśmiechu.

- Pani też nie spotkała nikogo, z kim chciałaby się związać?

- Ja też wolę niezależność.

Zostawili za sobą lotnisko i wielopasmową autostradę zmierzali do Los Angeles. Jej rodzinne miasto. Gina ciągle nie mogła oswoić się z tą myślą.

- Dokąd dokładnie jedziemy?

- Na Mullholland. - Ross wskazał wzgórze nad miastem. - Oliver chciał mieszkać wysoko.  
Uciekał przed smogiem.

- Zawsze tak go pan nazywał?
- Od początku chciałem, żebym zwracał się do niego po imieniu, choć Roxana mówi mu „tato”.
- Jak pańska siostra przyjęła tę wiadomość?
- Kiepsko. Przywykła być oczkiem w głowie całej rodziny.

Gina szybko obliczyła: Jenny zginęła przed dwudziestu dwu laty, czyli Ross musiał mieć teraz trzydzieści cztery, jego siostra dwadzieścia dziewięć. I ciągle oczko w głowie?

- Mężatka?
- Rozwiedziona. U nas małżeństwo to loteria.
- Dlatego wołał pan nie próbować?
- Po części z tego powodu. - Przyglądał się jej przez chwilę. - Inaczej sobie panią wyobrażałem.
- Gorzej, lepiej? Uśmiechnął się szeroko.
- Powstrzymam się na razie od odpowiedzi.

Atmosfera się rozluźniła i Gina poczuła się odrobinę lepiej. Spotkać się pierwszy raz w życiu z własnym dziadkiem, który umiera, nie jest rzeczą łatwą. Chciał ją poznać przed śmiercią, usłyszeć z jej ust, że mu wybaczyła. Zważywszy na okoliczności, gotowa była to zrobić, chociaż całkiem i do końca nie wybaczyła.

Do rezydencji Harlowów prowadziła kręta droga oferująca na każdym zakręcie coraz bardziej oszałamiające widoki, potem trzeba było pokonać jeszcze podwójne bramy z kutego żelaza, przejechać aleją, i limuzyna zatrzymała się wreszcie na dziedzińcu rezydencji, w której mogłoby mieszkać wygodnie dziesięć rodzin.

Reprezentacyjne drzwi frontowe prowadziły do okrągłego holu z marmurową posadzką, przesklepionego szklaną kopułą, w której punkcie centralnym zawieszony był ogromny kryształowy żyrandol.

Jeśli dama, która pojawiła się na ich powitanie, była Elinorą Harlow, musiała mieć przynajmniej pięćdziesiąt pięć lat, ale potrafiła skutecznie walczyć z wiekiem: doskonała fryzura i makijaż, doskonała figura i doskonale skrojona markowa suknia od dobrego projektanta składały się na starannie wypracowany wizerunek.

- Nawet gdybyś chciała, nie wyprzesz się, że jesteś córką Jenny. - Zbliżyła się energicznym krokiem, ujęła dłoń Giny i uśmiechnęła się ciepło. - Twój przyjazd ma dla mojego męża ogromne znaczenie. Gorzko żałuje tego, co wtedy zrobił. Jeśli potrafisz mu przebaczyć...

- Potrafię - zapewniła Gina. - Dlatego tu jestem.
- Właśnie, gdzie Oliver? - zainteresował się Ross.
- Śpi. - Przez piękną twarz przemknął cień.
- Bardzo marnie czuł się dzisiaj.
- Odpocznie i jego stan się poprawi - Ross powiedział to z niezłomnym przekonaniem. -

Zawsze tak jest. Tymczasem Gina pewnie chce się odświeżyć po podróży.

- Pokażę ci twój pokój - odezwała się Elinor.

- Michael zanieś walizki.

- Jedną - uściślił Ross. - W przeciwieństwie do pewnych osób, ta dama podróżuje z niewielkim bagażem.

Przez chwilę wydawało się, że Elinor pokaże synowi język.

- Lubię być przygotowana na każdą ewentualność. Nigdy nie wiadomo, co może się przytrafić.

- Piękny dom - zauważyła uprzejmie Gina, kiedy weszły na piętro. - Piękny i ogromny.

Elinor zaśmiała się.

- Niewielki jak na standardy Mullholland. Powinnaś zobaczyć, jak mieszka Gregory, to jest dopiero duży dom. Podobno należał kiedyś do Valentina. - Otworzyła drzwi. - A to twój pokój. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

Pokój miał mniej więcej tę samą powierzchnię co mieszkanie Giny, luksusowo umeblowany, z ogromnym łóżem na podeście.

- Na pewno - stwierdziła lakonicznie, nie chcąc wpadać w zachwyt. Ci ludzie tak właśnie żyli, tak mieszkali, dla nich to było coś normalnego.

- Do kolacji siadamy o ósmej, ale mogę przysłać ci coś z kuchni, jeśli jesteś głodna - dodała jeszcze Elinor.

- Dziękuję. Jadłam w samolocie. Po raz pierwszy podróżowałam pierwszą klasą. Nie wiem, czy po tym doświadczeniu będę potrafiła przesiąść się z powrotem do turystycznej - rzuciła Gina żartem.

- Nie będziesz już musiała - odparła Elinor tym samym, lekkim tonem. - Będziemy na górnym tarasie. Zejdź do nas, jak będziesz gotowa.

Gina była pewna, że Elinor chciała powiedzieć coś innego. Nie oczekiwała żadnych korzyści finansowych. Przyjechała, żeby dziadek mógł spokojnie umrzeć, nic więcej.

Połączona z sypialnią łazienka utrzymana była w czerniach i beżach: wpuszczona w podłogę wanna z jacuzzi, kabina prysznicowa z bocznymi natryskami... Kiedy wróciła do pokoju, jej walizka stała już na stojaku w nogach łóżka, choć nie słyszała, żeby ktoś wchodził.

Wyjęła prostą, czarną suknię dobrą na każdą ewentualność, na które tak lubiła być przygotowana Elinor. Suknia nie miała metki znanego projektanta, ale można było się w niej pokazać, choć Gina nie czuła potrzeby „pokazywania się”. To nie był jej świat. Im szybciej wróci do własnego, tym lepiej.

Niespodziewany list od dziadka wywołał zamęt w rodzinie. Oliver pisał, że odnalazł ją, bo nie chce umierać, nie spróbował naprawić krzywdy, którą kiedyś jej wyrządził. Gina wolałaby nie spotykać się z nim, ale nie mogła odmówić.

Kilka minut po siódmej zeszła na dół i gdyby nie Alex, osobisty lokaj Olivera, jak się przedstawił, długo szukałaby wyjścia na taras.

Ross poderwał się z fotela na jej widok.

- Jak samopoczucie po podróży?

- Całkiem niezłe, zważywszy na różnicę czasu.

W Londynie musi być teraz trzecia nad ranem.

- Czego się napijesz? Powinniśmy chyba mówić sobie na ty?

Nie było w tej propozycji cienia serdeczności, raczej pewna, niezamierzona, protekcjonalność.

- Chyba powinniśmy. Kir poproszę.

Ross przekazał polecenie lokajowi, który stał przy drzwiach i odsunął fotel dla Giny.

- Zostaniesz na kolacji? - zapytała, siadając.

- Tak. Mama powinna była ci powiedzieć, że nie przebieramy się do kolacji. Ale wyglądasz wspaniale w tej sukni.

- Dziękuję. Jak mówi moja matka, kiedy nie wiesz, co zrobić, wybierz kompromis. W związku z tym włosy zostawiłam rozpuszczone.

W szarych oczach znowu zabłyśły wesołe iskierki.

- Masz dar riposty po Harlowach, to pewne.

Nigdy nie słyszałem, żeby Oliver wahał się nad odpowiedzią.

- Kiedy go zobaczę?

- Rano. Nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze. Gina ściągnęła brwi, chwilę się wahała, zanim zadała pytanie.

- Ile mu zostało?

Wzruszenie ramion i wyraz twarzy, który nic nie zdradza.

- Kilka tygodni, trochę mniej, trochę więcej. Oliver jest twardy. - Ton głosu Rossa zmienił się nieznacznie. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz się nad nim znęcać.

- Oczywiście, że nie. - Powstrzymała się z wysiłkiem, by nie odparować ostro. - Powiedziałam ci już, to przeszłość. Za kilka dni wsiądę do samolotu i wrócę do domu.

- Warto lecieć pół świata, żeby za chwilę wracać?

- Nie mam tu po co siedzieć dłużej. Mówiłam ci już, pieniądze mnie nie interesują. Jeśli o mnie chodzi, bierz wszystko.

Twarz Rossa stężała na moment.

- Uważasz, że to dla mnie najważniejsze?

- Uważam, że zostałeś wychowany w przekonaniu, że odziedziczysz jego majątek - odparła gładko atak. - Nie dziwiłabym się, gdyby moje nieoczekiwane pojawienie się nie wprawiło cię w zachwyty.

- To kompletny idiotyzm tak stawiać sprawę - stwierdził. - A ty nie wyglądasz na idiotkę.

Gina posłała mu chłodne spojrzenie.

- Może i idiotyzm, nic na to nie poradzę.

- Czy to starcie w cztery oczy, czy można się przyłączyć? - Ani Ross, ani Gina nie zauważyli, kiedy Elinor pojawiła się na tarasie. - Muszę przyznać, że jak na ludzi, którzy poznali się zaledwie kilka godzin temu, jesteście szybcy. W każdym razie w kontaktach werbalnych - powiedziała z

nieznacznym uśmiechem.

Elinor jednak przebrała się do kolacji i to Ross, wbrew swoim wcześniejszym komentarzom, odstawał od towarzystwa, nie Gina.

Widziała po jego minie, że nie wierzy ani jednemu jej słowu. Wkrótce się przekona, że mówiła prawdę.

Kiedy Elinor usiadła, na tarasie pojawiła się kobieta z drinkami.

- Lydia, nasza gospodyni - przedstawiła ją Elinor. - Ona i Michael, nasz szofer, zajmują się całym domem.

Gina uśmiechnęła się do Lydii i gospodyni skinęła sztywno głową. Wyglądało na to, że jedyna Elinor wita ją naprawdę serdecznie, bez zastrzeżeń.

- Chyba jednak powinienem się przebrać. - Ross zmienił zdanie w kwestii stroju. - O ile, oczywiście, nie wyrzuciłaś jeszcze moich rzeczy...

Elinor zbyła zaczepkę machnięciem dłoni.

- Mną nie musisz się przejmować - powiedziała Gina, ale Ross zniknął w domu.

- Zdażył ci już dopiec? - zapytała Elinor, kiedy zostały same.

Gina uśmiechnęła się.

- Można tak to określić. Powiedziałam mu, że nie zależy mi na pieniądzach dziadka, ale on uważa, że kłamię.

- Przyznasz, że to dość niezwykle - odezwała się Elinor po chwili milczenia. - Większość ludzi w twojej sytuacji oczekiwałaby jednak rekompensaty finansowej.

- Nie jestem większością ludzi. Żałuję oczywiście, że nie znałam mojej prawdziwej matki, ale mam udane życie i rodziców, których kocham z całego serca. Nie chcę żadnych rekompensat.

- Będzie ci trudno przekonać dziadka. Ma mnóstwo planów związanych z twoją osobą.

- Będzie musiał z nich zrezygnować.

Szare oczy, bardzo podobne do oczu syna, wpatrywały się w nią przez długą chwilę, w końcu Elinor przechyliła głowę.

- Sama wiesz najlepiej, jak postąpić. Powiedz mi coś o sobie - podjęła. - Wiem, że skończyłaś studia, że prowadzisz własną firmę, ale nic ponadto. Jesteś z kimś związana?

- Z nikim na stałe. Luźne znajomości, nic poważnego - odpowiedziała Gina lekko.

- Nie z braku propozycji, to pewne. Jesteś śliczna. Gina zaśmiała się.

- Według hollywoodzkich standardów zaledwie niebrzydka.

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś zobaczyła te gwiazdy. Makijaż, dobre oświetlenie i dobry operator potrafią wyczarować cuda. Ty tego nie potrzebujesz.

- Dzięki. - Przyjęła komplement ze zdrowym sceptycyzmem. Nie uważała się za maskarę, ale

Elinor przesadziła. - Zawsze tak tu gorąco? - zapytała, bardziej po to, by zmienić temat, niż dręczona głodem wiedzy na temat specyfiki klimatu południowej Kalifornii.

- Teraz jest chłodno w porównaniu z tym, co będzie się działo za kilka tygodni. Mamy basen,

jeśli będziesz chciała się ochłodzić. Stąd go nie widać. Ja pływam codziennie rano, możesz się przyłączyć.

- Chętnie. Odpowiedź była absolutnie szczerą. Gina polubiła Elinor Harlow. Znacznie bardziej niż jej syna.

A o tym, że Ross budził w niej reakcje nie mające nic wspólnego z lubieniem czy nienubieniem, wołała nie myśleć.

Czekając na niego, rozmawiały przez chwilę o wszystkim i niczym. Wrócił ubrany w błękitne spodnie szyte na miarę i w białą koszulę.

- Teraz lepiej? - zwrócił się do Giny.

- Szata jednak zdoła człowieka - odpowiedziała tym samym tonem.

- Rozmawialiśmy właśnie o Hollywood - powiedziała Elinor. - Powinieneś wziąć Ginę do studia, Sam będzie zachwycony.

- Nie zdążę. Ona już zbiera się do wyjazdu - powiedział Ross z kpina w głosie.

- Mogę dokonać zmian w swoim grafiku - odparowała. - Podejrzewam, że już nigdy w życiu nie będę miała okazji zobaczyć studia filmowego w Hollywood. Oczywiście jeśli nie masz czasu...

Ross wzruszył ramionami.

- Ja też mogę dokonać zmian w swoim grafiku i pokażę ci studio. Siadamy do stołu?

- Ja jestem gotowa. - Gina podniosła się i sięgnęła po szklaneczkę. - Tutaj czy wewnątrz?

- Na zewnątrz, ale nie tutaj. Drinka zostaw.

- Ross poinstruował Ginę. - Będzie nowy.

- Czego człowiek nie zmarnuje, tego mu nie brakuje - odwołała się do mądrości ludowej, biorąc jednak szklaneczkę ze sobą.

Elinor słuchała tej wymiany zdań z uśmiechem.

- Widzę, że trafił swój na swego, synu.

- Nie licz na to - Ross mówił do Elinor, ale patrzył na Ginę. - Nie jestem na rynku.

- A ja nie prowadzę rozpoznania ofert - odparowała.

- Chodźmy jeść - powiedziała Elinor, wyraźnie rozbawiona starciem.

Usiedli do stołu na bocznym tarasie. Jedzenie okazało się doskonałe, ale Gina nie miała apetytu. Dopiero teraz zaczęła odczuwać zmęczenie podróżą, zmianą czasu. W samolocie właściwie nie spała, drzemała tylko.

- Kiedy poznam Roxanę? - zapytała, walcząc z sennością.

- Jak wróci z San Francisco - pospieszył z odpowiedzią Ross. - O ile, oczywiście, jeszcze tu będziesz - dodał jadłowicie.

- Przestań dokuczać dziewczynie - zbesztła go matka. - Wyjedzie, kiedy uzna za stosowne. - Spojrzała na Ginę. - Powinnaś się położyć i porządnie wyspać. Jutro też jest dzień.

- Znowu czytasz Przemienę z wiatrem. - Ross nikomu nie przepuścił. - Na mnie też już czas.



Od godziny powinienem być u Pinotów.

- A ja myślałam, że masz już dość Hollywood - powiedziała Elinor.

- To zależy. Czasem tak, czasem nie. - Odwrócił się jeszcze do Giny - Dam ci znać, kiedy pojedziemy do studia.

- Dobrze. - Była zbyt zmęczona, by zdobyć się na bardziej błyskotliwą odpowiedź. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Patrzyła za nim, jak odchodzi, i z całą pewnością nie było to spojrzenie obojętne. Zdarzało się jej fascynować dobrze zbudowanym, przystojnym facetem, ale nigdy do tego stopnia.

Daj sobie spokój, pomyślała trzeźwo, atmosfera już jest gęsta, bez seksualnych urozmaiceń.

- Nie jest taki straszny, jak może się w pierwszej chwili wydawać - powiedziała Elinor, widząc, jak Gina odprowadza Rossa wzrokiem. - A ostatnie tygodnie dla nas wszystkich były ciężkie.

- Czy dziadek ma jakieś szanse?

- Obawiam się, że żadnych. Kiedy wykryto guz, był już nieoperowalny. Patrząc na niego, nie powiesz, że stan jest beznadziejny. Dostaje silne środki przeciwbólowe. - Głos Elinor brzmiał rzeczowo, ale w oczach widać było cierpienie. - Napisał do ciebie, nic nam o tym nie mówiąc. Dla ciebie też musiał być to szok.

- Tak. - Szok to mało powiedziane, pomyślała. - Moi rodzice nie wiedzieli, czym jestem dzieckiem.

- Nie mieli nic przeciwko tej podróży?

- Nie, skądże. - Gina przysłoniła usta dłonią, tłumiąc ziewnięcie. - Pójdę się położyć. Przystając już myśleć.

- Trafisz sama do swojego pokoju czy mam cię odprowadzić?

- Trafię, dziękuję. - Gina chciała zostać sama. Uśmiechnęła się do Elinor. - Do zobaczenia rano.

Wróciła tą samą drogą, którą kilka godzin wcześniej prowadził ją Alex. Do swojego pokoju dotarła, nie spotykając po drodze nikogo. Miała jeszcze tyle tylko siły, żeby zmyć makijaż, i padła na łóżko, ale sen nie przychodził pomimo zmęczenia, w głowie kłębiły się dziesiątki myśli.

W domu Saxtonów nigdy nie brakowało pieniędzy. Ojciec był dyrektorem dużej firmy, matka autorką cenionych książek biograficznych, stać ich było na drogi dom w dobrej dzielnicy, a jednak był to zupełnie inny świat niż ten, w którym poruszali się Harlowowie. Wiedziała, że nie chce żyć tak jak oni. Ross mógł wziąć wszystko.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Mówił trochę wolniej, miał lekki niedowład lewej strony ciała, ale poza tym, tak jak powiedziała Elinor, trudno było domyślić się, że jego mózg zżera nowotwór. Ciągłe jeszcze, przy swoich sześćdziesięciu pięciu latach, prezentował się doskonale.

- Cała Jenny - powiedział zdławionym głosem. - Nie wiesz nawet, ile dla mnie znaczy, Gino, że przebaczyłaś mi to, co zrobiłem.

Sam doszedł do tego wniosku, bez słowa z jej strony, ale już mu tego nie uświadamiała.

- Zapomnijmy o tym. To najlepsze, co możemy zrobić - powiedziała i dodała: - Masz wspaniały dom. Jeszcze się w nim gubię. Pływałam dzisiaj z twoją żoną w basenie. Nie przypuszczałam, że przy tych temperaturach podgrzewacie jeszcze wodę, jest tak ciepła, że jajka w niej można gotować.

Oliver zaśmiał się.

- Ross pierwszy by ci przytaknął. Nie chce korzystać z basenu, a moja żona upiera się, że woda musi mieć minimum dwadzieścia pięć stopni, bo wszystko, co poniżej, oznacza szok dla organizmu.

- Przerwał i przyjrzał się jej uważnie. - Jak wczorajsze spotkanie z Rossem?

- Koszmarne - stwierdziła Gina spokojnie. - Ma charakterek.

- O tak - przytaknął Oliver z dumą. - Już jako czternastolatek interesująco się zapowiadał. - Nie powiem, że to wyłącznie moja zasługa, ale na pewno w dużej mierze to ja go ukształtowałem.

Na tarasie pojawiła się Elinor.

- Dzwonił przed chwilą Ross - oznajmiła, siadając pod parasolem. - Umówił wizytę w studiu. Macie tamjechać dzisiaj po południu. Szef wytwórni, Sam Walker, to stary przyjaciel rodziny.

- Wie, że Jenny oddała dziecko do adopcji. Jako jeden z nielicznych - powiedział Oliver.

- Prawdę mówiąc, wcale nie mam ochoty na tę wycieczkę - przyznała się Gina.

- Skoro Ross zadał sobie już trud i załatwił zwiedzanie wytwórni, udawaj przynajmniej, że jesteś zachwycona - poradził jej Oliver z jowialnym uśmiechem. - O której ma przyjechać?

- Za pół godziny. Najpierw zabiera cię na lunch. Prosił powtórzyć, żebyś się nie stroiła i że będzie ci wygodniej w czymś sportowym.

- Jak to miło, że troszczy się o moją wygodę - powiedziała, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt sarkastycznie. - Pójdę na górę i poszukam czegoś odpowiedniego. Bo to... - wskazała na top, który miała na sobie - jest chyba zbyt „sportowe”.

- Przy twojej figurze możesz włożyć worek i też będziesz wyglądała wspaniale - stwierdził Oliver z pewną dumą w głosie. - Wszystkie kobiety w naszej rodzinie były pięknie zbudowane.

- On ma na myśli piersi, kochanie - wyjaśniła i Elinor. - Gdybym była płaska jak deska, nigdy nie zwróciłbyś na mnie uwagi, prawda?

i

- Przenigdy - przytaknął skwapliwie.

Gina patrzyła na tych dwoje z zazdrością. Nie licząc rodziców, nigdy nie czuła do nikogo tego, co można nazwać miłością. Nie mieściło się jej w głowie, jak Elinor może żartować, wiedząc, że niedługo straci człowieka, którego w oczywisty sposób kocha i to kocha bezgranicznie.

Wróciwszy do pokoju, zdecydowała się na białe dżinsy i beżową bluzkę bez rękawów. Spięła włosy w luźny kok, nałożyła odrobinę mascary na rzęsy, pociągnęła usta jasną szminką. Jeśli Ross chciał „sportowo”, będzie miał „sportowo”.

Kiedy zeszła na dół, czekał już w holu. Też miał na sobie dżinsy, które musiały kosztować majątek, sądząc po doskonałym kroju.

- Cieszę się, że poszłaś za moją radą - przywitał ją. - Okulary przeciwsłoneczne też ci się przydadzą.

Gina poklepała małą, białą torebkę, którą miała na ramieniu.

- Są tutaj, razem z chustką do nosa. Ross uśmiechnął się przelotnie.
- Nazwijmy to braterską troską.
- Ściśle mówiąc, jesteś moim wujem, ale chyba nie chcesz, żebym tak się do ciebie zwracała.
- Chyba nie chcę.

Ross zdawał się pogodniejszy niż poprzedniego dnia, bardziej przyjazny. Może w końcu doszedł do wniosku, że Gina rzeczywiście nie chce pieniędzy dziadka. Podejrzewała jednak, że w gruncie rzeczy chodzi o coś innego: Ross mógł się bać, że będzie chciała mieć swój udział w kierowaniu imperium Harlowów, którym miał zarządzać. Mógł spać spokojnie: nie interesowało jej ani jedno, ani drugie.

Na dziedzińcu czekał nisko zawieszony, lśniący w słońcu granatowy kabriolet z czarną, jakżeby inaczej, skórzaną tapicerką. Wsiadając, Gina powtarzała sobie, że bliskość Rossa nie robi na niej żadnego wrażenia.

W czasie jazdy prawie nie rozmawiali i mogła spokojnie podziwiać egzotyczną scenerię.

Beverly Hills - gdzie mieszkało tyle wielkich gwiazd. Czytała, że organizowano specjalne wycieczki autokarowe od rezydencji do rezydencji. Obserwowane zza płotu sławy musiały czuć się jak rybki w akwarium.

- To cena sławy - powiedział Ross, kiedy podzieliła się z nim tą refleksją. - Poza tym niewiele czasu spędzają w domu.

- Znasz ich?

- Kilkoro. Tacy sami ludzie jak ja czy ty. Raczej jak ty, pomyślała. Ona była w tej chwili

zdecydowanie poza swoim środowiskiem naturalnym. Była pewna, że zjedzą lunch w jakiejś modnej hollywoodzkiej restauracji, tymczasem Ross zawiózł ją do jednego z hoteli należących do Harlowów.

- Tu mieszkasz? - zapytała.

- Tak.

- Nie myślałeś o własnym domu?

- Zbyt wiele podróżuję, a dom to obowiązki. Zatrzymali się przed wejściem, boy w zielonej liberii wziął od Rossa kluczyki, wskoczył do samochodu i odjechał na parking.

- Hm, robi wrażenie - powiedziała Gina, uważając, żeby to nie zabrzmiało zbyt

provincjonalnie.

- To jeden z... ilu?

- Z dwudziestu trzech. Nie budujemy nowych. Kupujemy stare i modernizujemy je. A ty, w którym nocowałaś?

- W nowojorskim. Przyjaciółka z biura podróży namówiła mnie na wycieczkę do Nowego Jorku. Przelot klasą turystyczną w obie strony i dwie noce w Harlow. Na zakupy na Piątej Alei niewiele mi już zostało, niemniej coś sobie przywiozłam.

- Warto było lecieć?

- Zdecydowanie. Dżinsy, za które w Anglii zapłaciłabym majątek, kosztowały mnie zaledwie czterdzieści dolarów.

Na twarzy Rossa pojawił się paskudny uśmiech.

- Miałem na myśli hotel. Gina zachowała kamienną twarz.

- Już ci mówiłam, bardzo ładny. Dali nam oczywiście jeden z tańszych pokoi, jedzenie w mieście, więc...

- Nam?

- Nam. Nie miałam ochoty chodzić po Nowym Jorku sama. Poleciałam w towarzystwie. Gina utkwiła spojrzenie w kobiecie, która wychodziła właśnie z hotelu. - To Shauna Wallis, prawda?

- Tak, wynajmuje bungalow na terenie hotelu. W męskim towarzystwie?

- Poleciałam z przyjaciółką. - Gina zajęta była przyglądaniem się aktorce, do której dołączył młody mężczyzna w stroju do tenisa. - Wygląda starzej i niż na ekranie.

- Pełne światło dzienne bywa okrutne. Denis jest naszym trenerem, idą właśnie na kort. Powiedzmy, że na kort - dodał zgryźliwie.

- Jesteś cyniczny - zauważyła.

- Mówię, jak jest. Shauna lubi młodych, wysportowanych chłopców.

- I pozwalasz, by twój personel świadczył usługi?

- To prywatna sprawa Denisa, co robi w czasie przerwy na lunch. Skoro mowa o lunchu, powinniśmy się pospieszyć, jeśli chcemy być w wytwórni o drugiej. Sam wszystko przygotował. Znał oczywiście Jenny i bardzo chce poznać ciebie.

Czego ona nie mogłaby powiedzieć o sobie. Nie chciała poznawać życia dziewczyny, która ją urodziła, budować więzi, które potem ciężko będzie zerwać.

W hotelowym holu - marmury, mahoń, chrom, skórzane kanapy i mnóstwo kwiatów - panował ruch i gwar, mnóstwo gości, uwijający się z bagażami portierzy, małe obłęzenie wokół recepcji.

- Interesy idą dobrze - zauważyła Gina.

- Zwykle tak. - Tu Ross zwrócił się do stojącego w pobliżu mężczyzny w szarym garniturze. - Zjemy w Sali Ogrodowej.

- Pierś przygotował już stolik. - Mężczyzna zerknął na Ginę; spojrzenie było szybkie, dyskretne, ale nie pozostawiało wątpliwości. „Nie w typie szefa”, oto co musiał sobie pomyśleć.

Nie czekając na maitre d'hôtel, Ross poprowadził Ginę przez zatłoczoną restaurację na taras pod pergolą obrośniętą dzikim winem. Tutaj też, jak w sali, wszystkie stoliki były zajęte, z wyjątkiem jednego.

Ledwie usiedli, pojawił się maitre.

- Nigdy nie mogę zrobić, co do mnie należy - zawołał wyraźnie zdetonowany.

Ross uśmiechnął się sucho.

- Jeśli narzekasz na brak zajęcia, przynieś nam szampana.
- Ja dziękuję - odezwała się Gina. - Nie lubię szampana. Dla mnie może być kir.
- W takim razie dla mnie też - zmienił zamówienie Ross. - Prowadzę.
- Prowadziłeś również, zamawiając szampana - wytknęła mu, kiedy maitre odszedł.
- Szampan miał być dla ciebie. Nie spotkałem jeszcze kobiety, która by go nie lubiła.

Gina wzruszyła ramionami.

- Widocznie jestem dziwolągiem.
- Powiedzmy, osobliwością. Zamówić wino?
- Nie, nie chcę. - Obróciła kieliszek w dłoni. Ross wpatrywał się w nią tak, że zaczynało być to krępujące.
- Wyrosła mi druga głowa? - zapytała w końcu.
- Właśnie myślę, jakie to ożywcze, podejmować kobietę o prostych upodobaniach.
- Obracasz się w złym towarzystwie - odcięła się.

- W tym mieście trudno o inne. Tutaj każdy walczy, żeby wejść do gry. Dlatego tak trudno mi zrozumieć twoją postawę. Pieniądze Olivera ustawiłyby cię na całe życie.

- Wierz mi, nie po to tu przyjechałam. Gdyby mój dziadek miał się dobrze, nie zobaczylibyście mnie.

- Ale proście umierającego nie mogłaś odmówić. Ironia była ledwie wyczuwalna, ale Gina musiała mocno się pilnować, żeby nie odpowiedzieć ostro.

- To byłoby zbyt okrutne - powiedziała tylko. Ross odczekał, aż odejdzie kelner, który podał drinki i podjął.
- Oliver nie pozwoli ci wyjechać z pustymi rękami.
- Nie będzie miał wyboru. Podoba mi się moje życie takie, jakie jest. Nie chcę go zmieniać.
- Twój wspólnik czy wspólniczka ucieszyliby się pewnie z zastrzyku kapitału.
- Barbara o niczym nie wie i nie dowie się. Ile razy mam powtarzać swoją kwestię?

Ross podniósł dłonie.

- W porządku, poddam się. Uważam, że to idiotyzm, ale wierzę ci.
- Bardzo dobrze. - Gina otworzyła kartę. - Co! polecasz?
- Jagnięcinę Colorado. Specjalność naszego! szefa kuchni.

Serwowane z lasagne danie było rzeczywiście pyszne. Z deseru Gina zrezygnowała, zamówiłaś tylko kawę.

- Naprawdę nie musisz tego robić - powiedziała, kiedy Ross zerknął na zegarek. - Twój czas musi być bardzo cenny.

- Nie aż tak, żebym nie mógł wziąć wolnego! dnia, kiedy chcę. Ty w tej chwili też zrobiłaś sobie urlop. - Ross zamilkł na chwilę. - Co powiedziałaś swojej współpracownicy?

- Ze jadę do Hiszpanii - przyznała ucziwie. - Krótki odpoczynek. W przyszłym miesiącu jej kolej.

- Nie jesteście na tyle blisko, żebyś chciała powiedzieć jej prawdę?

- Łączą nas interesy. Nie musi wiedzieć. - Gina poruszyła się niespokojnie. - Nie powinniśmy już jechać?

- Jasne. - Ross zerwał się z fotela, obszedł stoliki i pomógł jej wstać. - Nie musimy czekać na rachunek. To jedna z korzyści prowadzenia hotelu.

Musiałoby być ich więcej. Gdyby była inną osobą, mogłaby mieć zapewnione bezpłatne noclegi we wszystkich dwudziestu trzech Harlowach, ale nie chciała ważyć tego, co traci. Za kilka dni wróci do Anglii i zapomni o rodzinnych związkach.

Na parking wytwórni wjechali kilka minut przed drugą. Sam Walker okazał się niskim, łysiejącym panem dobrze po sześćdziesiątce i w niczym nie przypominał potentata przemysłu filmowego z wyobrażeń Giny. Przepraszył, że nie może im towarzyszyć, ale za dziesięć minut ma spotkanie i wierzy, że Ross będzie dobrym przewodnikiem.

- Jenny była cudowną dziewczyną - zmienił temat. - Czasami sprawiała problemy, ale nie większe niż inne nastolatki. Sam wychowałem trójkę, więc wiem, jak to jest. Masz rysy Harlowów. Filmowa uroda. Załatwię ci zdjęcia próbne.

Gina roześmiała się na ten żart Sama.

- Nie jestem aktorką.

- A kto jest, skarbie? - uśmiechnął się i zwrócił do Rossa: - Jak Oliver?

- Trzyma się. Nie widziałem go jeszcze dzisiaj.

- Miał się nieźle, kiedy się z nim zebrałam po śniadaniu - wtrąciła Gina.

- Kiedy ja przyjechałem, zdążył już pójść do siebie na górę. Chciał odpocząć.

- Trudno się dziwić. To okropne, że nic nie da się zrobić. Szczęście, że ma was. - Sam zerknął na zegar. - Na mnie już pora. Poradzisz sobie, Ross. Czujcie się swobodnie. Wpadnę odwiedzić Olivera, jak tylko będę miał chwilę czasu.

- Wpadnie? - zapytała Gina, gdy wyszli na zewnątrz.

- Tak jak powiedział, jeśli znajdzie czas. Jeszcze jeden zapracowany - powiedział Ross, prowadząc Ginę na parking, gdzie stało kilka wózków akumulatorowych.

Wytwórnia przypominała miasto w miniaturze, miała nawet własną straż pożarną. Było jezioro, dekoracje udające zabudowę uliczną. Gina była trochę zawiedziona, że nie kręcono akurat żadnych scen na zewnątrz. Kiedy przechodzili obok jednej z hal zdjęciowych, otworzyły się ogromne drzwi, z wnętrza wysypała się grupka ludzi i jakaś kobieta na widok Rossa ruszyła w jego stronę.

- Dorabiasz sobie jako przewodnik? - zagadnęła, kiedy zatrzymał wózek obok niej i zmierzyła Ginę ciekawym spojrzeniem. - Przedstawisz nas sobie, kochanie?

- Nie mam wyboru - powiedział Ross cierpko. - Gina Saxton, Karin Trent.

Gina zdążyła rozpoznać oszałamiającą blond' piękność, zanim Ross wypowiedział nazwisko i zapewne powiedziała by „miło mi”, albo coś podobnego, ale dama natychmiast przestała się nią interesować, zajęta Rossem.

- Będziesz na przyjęciu z okazji skończenia zdjęć? - zagadnęła.

- Wątpię. Całkiem dorosła na oko Karin nadąsała się jak mała dziewczynka. Ross nie mógł wyraźniej manifestować swojego braku zainteresowania osobą aktorki, ale do niej to nie docierało.

- Odezwij się - rzuciła i odeszła, kręcąc zalotnie biodrami.

- Widziałam ją w zeszłym roku w „Zauroczeniu”, była dobra - powiedziała Gina.

- Potrafi grać.

- Znasz ją bardzo blisko?

Ross zerknął na Ginę, unosząc brew.

- Skąd to zainteresowanie?

- Zachowywała się trochę zaborczo. Musiałeś dać jej prawo.

- Zakładasz, że każda kobieta, z którą śpię, ma prawo?

Gina naprawdę starała się powściągnąć język.

- Na pewno większe niż te, z którymi nie spałeś. W każdym razie mogłeś gorzej trafić. Jest piękna.

- Jak tysiąc innych.

- Zamierzasz przelecieć cały tysiąc innych? Ross parsknął śmiechem.

- Aż tyle wigoru nie mam. A o Karin nie musisz się martwić. Jest twarda, da sobie radę. Ma w sobie umiejętność przetrwania.

- A ty masz w sobie trochę drania. - Rym sam się prosił.

- Tylko trochę? - zdziwił się Ross, bardziej rozbawiony niż urażony. - Czemu mnie oszczędzasz?

- Zachowam resztę na potem.

Wysiadając z wózka po powrocie na parking, Gina poprawiła kok, który się rozluźnił.

- Masz piękne włosy, rozpuść je - zasugerował Ross.

- Wykluczone - obruszyła się, ale komplement sprawił jej przyjemność. - Nie przyjechałam tutaj robić wrażenia. - Opuściła rękę. - Wracamy do domu?

- Muszę najpierw zajrzeć do biura. To niedaleko stąd.

Amerykańskie „niedaleko” bardzo różniło się od Giny wyobrażeń odległości, ale do tego zdążyła już przywyknąć i nie zdziwiła się, kiedy wjechali na zatłoczoną autostradę.

- Rozmawiałaś już z rodzicami? - zapytał Ross.

- Tak, dzwoniłam do nich dzisiaj rano i powiedziałam, że wracam w weekend.

- Dzisiaj mamy już środę. Zarezerwowałaś bilet?
- Nie, ale mam wykupioną pierwszą klasę, więc nie powinno być problemów. W tę stronę były wolne miejsca.

- Co wcale nie znaczy, że będą również w tamtą. Jeśli naprawdę myślisz o powrocie, zadzwoń do linii lotniczych. Możesz to zrobić z mojego biura.

- Tak ci spieszno pozbyć się mnie? - zakpiła.

- To ty upierasz się wracać.

To prawda, pomyślała. Bez przerwy powtarzała, że nie chce przedłużać pobytu w Kalifornii.

- Muszę. Powiedziałam, że wracam z tej Hiszpanii w sobotę. Barbara będzie się denerwowała, jeśli w poniedziałek nie przyjdę do pracy.

- Dlaczego akurat butik? - zapytał po chwili. - Powiedziałbym, że stać cię na coś więcej.

- To dobry butik - próbowała się bronić. - Mamy swoją klientelę.

- Pomimo wszystko...

- Pomimo wszystko - weszła mu w słowo - to mój wybór, moje życie.

Ross wzruszył ramionami: temat przestał go interesować. Ciekawe, co by powiedział, gdyby przyznała, że popełniła błąd, zajmując się handlem. Barbara ją wciągnęła, przekonała swoim entuzjazmem i Gina. weszła w spółkę, nie zastanowiwszy się dobrze, czy ma na to ochotę. Owszem, firma funkcjonowała bardzo dobrze, ale nie była raczej spełnieniem jej ambicji życiowych. Problem polegał na tym, że Barbary nie stać było na wykupienie Giny, a ona bez wycofania swoich udziałów nie mogła myśleć o nowym, już własnym przedsięwzięciu.

Zjechali z autostrady i po przejechaniu kilku przecznic dotarli do siedziby Harlow Inc. Gina spodziewała się co prawda oszałamiającego popisu architektonicznego, ale smukła wieża ze szkła zaparła jej dech w piersiach.

Recepcjonistka na ósmym piętrze, gdzie znajdowały się biura Rossa, zerwała się na jego widok zza biurka.

- Nie spodziewałam się pana dzisiaj, panie Harlow.

- Zajrzałem tylko na chwilę. Muszę coś sprawdzić.

Wprowadził Ginę do swojego gabinetu, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto.

- Siadaj, proszę. - Wskazał skórzane fotele w rogu, a sam podszedł do wielkiego, mahoniowego biurka i włączył komputer. - To nie potrwa długo.

- Wystarczy tylko kliknąć - powiedziała Gina.

- Jak myśmy sobie radzili w epoce przed komputerowej?

- Polegaliśmy na sekretarkach jeszcze bardziej niż teraz. Penny jest niezastąpiona.

- Jest śliczna - powiedziała Gina, mając w oczach młodą kobietę o doskonałych rysach i równie doskonałej fryzurze.

- Prawda. - Ross nie odrywał wzroku od ekranu.

- Szczęśliwa mężatka, w razie gdybyś...



Zanim dokończył zdanie, odezwał się telefon i Ross wyjął aparat z kieszeni.

- Harlow, słucham... A, to ty. Co? - zamilkł, twarz mu stężała. - Zaraz tam będziemy.

Gina, przeczuwając złe wieści, zerwała się z fotela. - Co się stało?

- Oliver. Miał atak serca. Są w drodze do szpitala.

Jazda przez miasto w popołudniowym korku była koszmarem. Gina siedziała odrętwiała na miejscu pasażera. Widziała się dziadkiem raptem pół godziny tego ranka i mogło się okazać, że był to jedyny czas, jaki udało się jej z nim spędzić.

Ross się nie odzywał, ale jego napięta twarz mówiła wszystko.

Po przyjeździe do szpitala zostali skierowani na kardiologię. Elinor siedziała w holu, w towarzystwie pielęgniarki. Podniosła na syna zrozpaczoną twarz.

- Nie żyje - powiedziała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Olivera żegnało pół miasta. Około trzydziestu osób zostało zaproszonych potem do domu, ale pojawiło się znacznie więcej.

Błada, ale opanowana Elinor krążyła wśród gości, przyjmowała kondolencje i z uśmiechem wysłuchiwała anegdot. Gina podziwiała jej siłę ducha.

O wyjeździe na razie nie było mowy. Nie mogłyby teraz wyjechać. Musiała powiedzieć Barbarze prawdę, a po powrocie czekały ją wyjaśnienia, dlaczego kłamała.

Ross pochwyił jej spojrzenie i uśmiechnął się poczekiująco. W ostatnich dniach był prawdziwą opoką, wszystko załatwiał, kontaktował się z ludźmi, z którymi trzeba było się skontaktować. Długo nie mógł odnaleźć Roxany i Gina służyła wsparciem Elinor, czego Roxana nie potrafiła docenić.

Rozmawiała właśnie z Samem Walkerem, ożywiona i jakoś niezbyt przytłoczona żałobą. Piękną twarz okoloną ciemnymi włosami szpeciła, w odczuciu Giny, zaciętość.

Podczas powitania z Giną dała do zrozumienia swym zachowaniem, co myśli, a kiedy zostały same, wypowiedziała swoje zdanie wprost: Gina została adoptowana i w związku z tym nie ma żadnych praw do spuścizny po Oliverze. Gina nie próbowała się z nią sprzeczać ani też wyjaśniać, jaką podjęła decyzję.

Podszedł do niej Ross i wsunął jej w dłoń szklaneczkę z czymś, co wyglądało na whisky.

- Wypij. Wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała czegoś mocniejszego.

Pomyślała, że potrzebowałyby domu. Przede wszystkim. Ale musiała poprzestać na whisky. Wychyliła jednym haustem połowę zawartości szklaneczki i skrzywiła się, czując pieczenie w gardle.

- Ostrożnie,-to najprawdziwsza żytnia whisky.

- Teraz mi to mówisz? - Spojrzała w jego oczy, w których, jak zwykle, trudno było coś wyczytać. - Twoja matka dzielnie się trzyma.

i - Jakoś to znosi. Jeszcze pół godziny i zacznę dziękować gościom, że przyszli. - Zamilkł na moment. - Dziękuję, że byłaś przy niej.

- Nie masz za co dziękować. Niewiele mogłam pomóc. Wiem, że bardzo kochała Olivera.

- Dopiero teraz, kiedy zamieszanie się skończy, dotrze to do niej naprawdę. Zostanę tu dzisiaj.

Gina poczuła ulgę na myśl, że nie będzie skazana na sam na sam z Roxaną, gdyby Elinor chciała się wcześniej położyć.

- Dzisiejszy wieczór to krytyczny moment, jutro powinno być już lepiej.

Ross pokręcił głową.

- Niekoniecznie. Jutro czytanie testamentu.

- Myślałam, że sprawa jest prosta.

- W zasadzie tak, ale zawsze są jakieś drobne zapisy, zmiany i odczytanie musi się odbyć.

Można z tym przeciek poczekać, pomyślała, ale nie miała prawa wtrącać się w sprawy Harlowów.

- Ja też powinnam jutro zająć się swoimi sprawami.

- Oczywiście. Zadzwoń do twoich rodziców i podziękuję za kwiaty. To był ładny gest.

Zostawiwszy Roxanę, która stała teraz otoczona gośćmi, podszedł Sam Walker. Uśmiechnął się do Giny, poklepał ją po ramieniu, po czym zwrócił się do Rossa.

- Muszę się zbierać - mruknął.

Ross uściśnął wyciągniętą na pożegnanie dłoń.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że to trudne. Sam wzruszył nieznacznie ramionami.

- A co jest łatwe? Pożegnaj się jeszcze z twoją matką. Odzywaj się.

- Sam w zeszłym roku pochował żonę - wyjaśnił Ginie Ross, kiedy Walker odszedł. - Jak na hollywoodzkie standardy byli wyjątkowym małżeństwem. - Wahał się chwilę, wreszcie powiedział: - Muszę cię przeprosić. Byłem wyjątkowo wredny dla ciebie zaraz po twoim przyjeździe.

- Jakoś sobie poradziłam - odparła Gina spokojnie.

- Zauważyłem. Nie wiem, czy są sytuacje, w których sobie nie radzisz. Może usiądziemy?

- Wskazał najbliższą kanapę. - Mamy za sobą długi dzień.

Kiedy usiedli, Gina omiotła spojrzeniem wielki salon.

- Myślisz, że twoja matka nadal będzie tu mieszkać?

- Też się nad tym zastanawiałem. Powinna kupić mieszkanie, byłaby wśród ludzi, ale nie wiem, czy się zdecyduje. W tym domu mieszkała od dnia ślubu z Oliverem. Kupił go, kiedy się pobierali.

- Czy Roxana zawsze zatrzymuje się tutaj, kiedy przyjeżdża do Los Angeles? - Gina zmieniła temat.

- Czasem tak, czasem nie. Roxana robi to, co dla niej wygodne.

- Nie słyszę braterskiej miłości w twoim głosie.

- Rodzeństwo nie zawsze musi pałać do siebie miłością. Jesteśmy zupełnie różni. Wy też nie przypadłyście sobie do serca, czego zresztą się spodziewałem.

- Skąd to przypuszczenie? - zdziwiła się Gina.

- Ideały. Ty je masz, Roxana ich nie ma. W każdym razie ja nie zauważyłem.

Goście zaczęli zbierać się do wyjścia. Ross odstawił kawę, podniósł się.

- Muszę pełnić honory pana domu.

Gina wyszła na taras, chcąc przeczekać pożegnania. To, co Ross powiedział o siostrze, przyprawiło ją o szok. Cokolwiek sama o niej myślała nie spodziewała się tak surowej, bliskiej nienawiści, oceny z jego strony.

Między rodzeństwem musiało zajść coś, co stało się przyczyną wrogości Rossa. Nie była ciekawa co. Za dzień, dwa wyjedzie, zostawi to wszystko za sobą.

Wiedziała, że nie będzie jej łatwo zapomnieć o Rossie: wywarł na niej ogromne wrażenie. Od pierwszej chwili, ledwie go zobaczyła, czuła, że tak właśnie się to potoczy. Czasami zdarza się coś takiego, nie przypuszczała tylko, że to spotka właśnie ją.

Ross co prawda zmienił ton w stosunku do niej, ale to wszystko. Jeśli chodzi o zauroczenia i takie tam, to w niczym nie przypominała kobiet, którymi się interesował, czy też do których przywykł.

Kiedy wróciła do salonu, natknęła się na Roxanę.

- Nie masz tu już nic do roboty. - Od razu została zaatakowana. - Możesz wracać do domu.  
- Mam taki zamiar. Jutro rano zarezerwuję miejsce w samolocie.  
- Dzisiaj nie możesz?  
- Jestem zmęczona.  
- Masz nadzieję, że matka cię uprosi, żebyś j została? Myślisz, że nie widzę, jak skaczesz koło i  
niej?  
- Robiłam to, co powinno należeć do ciebie - odparowała Gina. - Próbowałam ją wspierać.  
- Nie będziesz mi mówić, jak mam postępować.  
- Ktoś powinien.  
- Co się dzieje? - zagadnął Ross, podchodząc. Spojrzał pytająco na siostrę, potem na Ginę.  
- Zasugerowałam tylko, że pora, by pomyślała o powrocie do domu, to wszystko - wyjaśniła  
Roxana.

- Decyzja należy wyłącznie do Giny. Prawdę powiedziawszy, ma większe prawo być tutaj niż  
my dwoje.

- Bzdura.  
- Nieważne - ucięła Gina, zanim Ross zdążył odpowiedzieć. - Idę się przebrać.  
- Dobry pomysł - przytaknął. - Oliverowi na pewno nie podobały się te żałobne stroje. Zawsze  
uważał, że Irlandczycy mają zdrowy stosunek do pogrzebów. - Spojrzał na siostrę. - Masz zamiar  
zostać?

- Mam zamiar nie ruszać się stąd, dopóki nie będę wiedziała, na czym stoję.  
- Hm, nie wiem, dlaczego cię w ogóle pytałem. Gina zostawiła rodzeństwo samym sobie. Po  
powrocie do swojego pokoju chwilę stała bez ruchu, zbierając siły. Zbliżała się szósta: od  
jedenastu godzin byli na nogach. Pogrzeb i przyjęcie w domu były dobrze zorganizowane, ale  
wyczerpały ją zupełnie. Elinor zapewne czuła się jeszcze bardziej zmęczona.

Bardzo się zbliżyły przez tych kilka dni. Elinor ani słowem nie komentowała zachowania Roxany,  
ale nieobecność córki musiała ją boleć.

Gina wzięła prysznic, przebrała się i wróciła na dół. W salonie zastała Rossa, który też zdążył już  
zmienić czarny garnitur na wygodne beżowe spodnie i lekką koszulę.

- Napijesz się? - zapytał.  
- Nalej mi trochę soku pomarańczowego, proszę. Ciągle czuję whisky, którą mi dałeś. Twoja  
matka zejdzie na dół?

- Niebawem. Roxana pojechała do miasta. Uznała, że ma ciekawsze zajęcia.  
- Zawsze tak się zachowuje? - zapytała Gina.  
- Czy zawsze jest tak zajęta sobą? - Oliver wzruszył ramionami. - Od kiedy sięgam pamięcią.  
Oliver popełnił wiele błędów. Tak bardzo chciał, by go zaakceptowała, że pozwalał jej na wszystko.

- Tobie też.  
- Mnie nie musiał. Od pierwszej chwili świetnie się porozumiewaliśmy. Zawsze chciał mieć

syna. Może gdybyś była chłopcem... Nigdy się nie dowiemy. Bóg cię zesłał - dodał po chwili innym już tonem. - Byłaś przez te ostatnie dni niezastąpiona. Nie myśl, że tego nie doceniamy. Matka potrzebowała kobiecego wsparcia. Mogła się przed tobą wypląkać, a tak dusiłaby wszystko w sobie. Gdyby Roxana... - przerwał i pokręcił głową. - Nie ma o czym mówić.

Kolacja upłynęła niemal w milczeniu. Jedli niewiele, nikt nie miał apetytu i Elinor, wstawszy od stołu, wróciła natychmiast do swojego pokoju.

- Ja też chyba wcześniej się położę - powiedziała Gina.
- Zostań jeszcze trochę - poprosił Ross. - Nie chcę być sam.

Gina usiadła z powrotem na krześle.

- To musiało być trudne, przez cały tydzień zachowywać spokojną twarz.
- Owszem - przytaknął z nieznacznym uśmiechem.
- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mężczyźni tak się wzbraniają przed okazywaniem emocji.
- Tak jesteśmy wychowywani. Od chłopca oczekuje się, że ma być twardy. - Zamilkł

na moment. - Jaka była twoja pierwsza reakcja na list

- Olivera?
- Niedowierzenie. Byłam prawie pewna, że to jakaś pomyłka.
- Twój stosunek do Saxtonów nie zmienił się?
- Oczywiście, że nie. Wychowali mnie i zawsze będą moimi rodzicami.
- Byliby skłonni pomóc ci? Zrezygnowałabyś z butik i otworzyła coś własnego.

Ross kompletnie zaskoczył ją tym pytaniem.

- Skąd wiesz, czy chciałabym zrezygnować?
- Intuicja. Nic nie mówisz o swojej firmie i najwyraźniej nie cenisz swojej współpracownicy.
- To jeszcze nie powód, by się wycofywać.
- Nie zaprzeczasz jednak, że mam rację.
- No dobrze, nie zaprzeczam - przytaknęła ze złością. - Zapewne pomogliby mi, ale nie chcę ich o to prosić. To był mój błąd i sama muszę sobie poradzić.
- Jesteś zupełnie wyjątkowa, wiesz o tym? Przynajmniej jak na standardy amerykańskie.

Nie zareagowała, kiedy wstał, podszedł i wziął ją w ramiona. Liczyła się tylko ta chwila. Pocałunek był zrazu delikatny, jakby zawierało się w nim pytanie, jakby w obojgu dopiero budziło się pragnienie. Gina wiedziała tylko, że pragnie Rossa i że on pragnie jej - w każdym razie teraz, dzisiaj.

W drodze do jej pokoju otrzeźwiała na sekundę, ale bliskość Rossa, dotyk jego dłoni, jego zapach, wszystko to sprawiło, że rozsądek przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Warto było czekać - mruknął, kiedy leżeli w skłębionej pościeli, usiłując złapać oddech.
- Czekałeś? - zapytała niezbyt przytomnie.
- Poszedłbym z tobą do łóżka od razu pierwszej nocy.

Gina milczała przez chwilę, jakby słowa Rossa nie od razu do niej dotarły.

- Nie sprawiałaś raczej takiego wrażenia - powiedziała w końcu.

Zaśmiał się i pocałował ją w szyję.

- Staralem się.
- Uważałeś, że przyjechałam po pieniądze?
- Mniej więcej. Jest spora różnica między pożądaniem i zaufaniem.
- Ale teraz mi ufasz?
- Obserwując cię przez tych kilka ostatnich dni, nie miałem innego wyjścia. Nie wiem, co matka by zrobiła, gdyby nie twoja obecność.

- Miałaby ciebie.
- Ja nie dałbym jej tego wsparcia, które ty jej dałaś, mówiłem ci już.

Pocałował ją w usta i Gina raz jeszcze odpłynęła w inny świat, nie bacząc na konsekwencje.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy się obudziła z głębokiego snu. Rossa, oczywiście, nie było obok niej. Niczego innego się nie spodziewała.

Popełniła poważny błąd. Wiedziała o tym już

Iw momencie, kiedy poprzedniego wieczoru brał ją w ramiona. Teraz wyjazd będzie znacznie trudniejszy. Dla Rossa nie miało to zapewne żadnego znaczenia. Nie chciał być sam, a ona była pod ręką. Przygotował się nawet, przewidział, że spędzą tę noc razem.

Na dole nie spotkała ani jego, ani Roxany. Wypiła kawę, zjadła grzanekę, skorzystała z telefonu i ruszyła na poszukiwanie Elinor, którą znalazła koło basenu.

- Powygrzewaj się trochę na słońcu ze mną - zaprosiła ją Elinor. - Dzisiaj ma padać.
- Muszę się spakować - powiedziała Gina.
- Dzwoniłam na lotnisko. Zarezerwowałam sobie już miejsce w samolocie. Lecę o dziesiątej piętnaście wieczorem.
- Elinor usiadła gwałtownie.
- Nie możesz jeszcze wyjeżdżać. Musisz być przy otwarciu testamentu. Mówiłam ci, że Oliver miał plany wobec ciebie.

Gina usiadła ciężko na leżaku. Od samego początku mogła była przewidzieć, że tak będzie.

- Wcale mnie to nie cieszy. Nie po to przyjechałam.
- Wiem. Mówiłam Oliverowi, jakie jest twoje stanowisko. - Elinor pokręciła głową. - Nie chciał słuchać. Czego należało się spodziewać. Zmienił testament na krótko przed twoim przyjazdem. Nie powiedział mi dokładnie, co zamierza, ale jestem pewna, że od tej pory będziesz mogła spokojnie podróżować wyłącznie pierwszą klasą. Jeśli nie przyjmiesz tego, co ci zapisał, to będzie zniewaga. Gina przygryzła wargę.

- Jestem między młotem a kowadłem.
- Wobec tego przyjmij zapis. - Elinor uśmiechnęła się nieznacznie. - Czy pieniądze to coś złego?
- Nie - przyznała Gina. - Ja tylko nie chciałabym...
- Żebyśmy pomyśleli, że polujesz na majątek - dokończyła Elinor. - Oliver upewnił się, że

jesteś godną przedstawicielką rodziny, zanim do ciebie napisał. To, że nie chcesz nic, dowodzi tylko, że się nie pomylił co do ciebie. Ross miał pewne wątpliwości, ale najwyraźniej je rozwił.

- Roxana w dalszym ciągu mi nie ufa - powiedziała Gina, uciekając od myśli o Rossie.

Elinor westchnęła.

- Roxana boi się, że przez ciebie sama mniej odziedziczy, chociaż Oliver dobrze ją zabezpieczył. Ross przejmie oczywiście firmę. Oliver zawsze tego chciał. Dlatego tak zależało mu na prawnej adopcji. Ja nie mogłam mieć więcej dzieci, o czym Oliver wiedział, kiedy się pobieraliśmy. Skrzywdził Jenny i ciebie, to nie ulega kwestii, ale pod wieloma innymi względami był naprawdę dobrym człowiekiem.

- Jestem tego pewna - powiedziała Gina cicho.

- Musiał bardzo cię kochać.

W oczach Elinor pojawiły się łzy.

- Ja też bardzo go kochałam. Dlatego uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby jego ostatnia wola została wypełniona.

Gina nie miała wyboru.

- Trudno - mruknęła zrezygnowanym głosem.

- O której otwarciu testamentu?

- O drugiej.

- Wobec tego mogę lecieć wieczornym samolotem.

- Chciałabym, żebyś została trochę dłużej - poprosiła Elinor. - Nie mam z kim porozmawiać, a twoja współpracowniczka da sobie przecież radę jeszcze przez kilka dni sama.

Paskudna sytuacja, pomyślała. Jeśli wyjedzie, zrobi przykrość Elinor, jeśli zostanie, Ross gotów pomyśleć, że liczy na ciąg dalszy tego, co wydarzyło się ostatniej nocy. Samo przyjęcie spadku po Oliverze było wystarczająco kłopotliwe.

- Sądzę, że tak - powiedziała, nie wdając się w dalsze rozważania. - Zadzwoń do niej.

Zostawiła Elinor przy basenie i weszła do domu obliczając szybko, że Barbara powinna być o tej porze jeszcze w sklepie. Nie była zachwycona, że Gina przedłużyła pobyt w Kalifornii.

- Siedzisz tam już ponad tydzień. Kiedy zamierzasz wrócić?

- Za kilka dni. Skontaktuję się z tobą, jak tylko ustalę datę.

Kiedy odłożyła słuchawkę, a rozmawiała z aparatu w holu, zobaczyła, że za nią stoi Roxana; sądząc po stroju, właśnie wróciła z całonocnej imprezy.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytała Gina.

- Doskonale, chociaż to nie twój interes - odpowiedziała ostrym tonem Roxana. - Jeśli ci się wydaje, że tu zostaniesz, to dobrze się zastanów.

- A to twój interes? - Gina nie pozostała jej dłużna. - Odniosłam wrażenie, że ten dom należy do twojej matki. - Gina odeszła, myśląc nie po raz pierwszy, że dziadek niepotrzebnie uparł się naprawiać błędy przeszłości. W nagłym przypływie wyrzutów sumienia wyrzucił jej życie do góry nogami.

Rodzicom nie powiedziała ani słowa o testamencie, a samą wiadomość, że powrót Giny się opóźnia przyjęli, jak łatwo mogła się domyślić, bez entuzjazmu.

Ani brat, ani siostra nie pojawili się na lunchu.

- Ross pojechał do biura - wyjaśniła Elinor - a Roxana pewnie odsypia ekscesy ostatniej nocy  
- Westchnęła i pokręciła głową. - Naprawdę nie wiem, jak to się stało, że jest taka. To moja córka, kocham ją, ale czasami po prostu jej nie lubię.

Gina nie potrafiła wykrztusić z siebie żadnego słowa w obronie Roxany. Dziewczyna była po prostu rozwydrzona.

Krótko przed drugą zjawił się prawnik, który miał odczytać testament, a kilka minut później przyjechał Ross i wszyscy przeszli do biblioteki. Gina unikała jego wzroku, ale czuła, że Ross ją obserwuje. Była pewna, że kpi sobie teraz z niej w duchu: z niej i jej zapewnień, że nie chce nic, ani centa.

Notariusz zaczął od pomniejszych zapisów, głównie dla służby. - Potem była długa lista różnych organizacji dobroczynnych i fundacji, na samym końcu przyszedł czas na głównych spadkobierców.

- Mojej adoptowanej córce, Roxanie - czytał prawnik - zapisuję milion dolarów. Mojej żonie Elinor...

- Nędzny milion! - Roxana zerwała się z fotela z twarzą wykrzywioną wściekłością. - To niemożliwe.

- Zamknij się i siadaj - powiedział Ross rozkazująco. - Ciesz się, że w ogóle o tobie pamiętał. Jeszcze słowo i wyjdiesz stąd - zagroził, gdy otworzyła usta, by coś jeszcze wykrzyknąć.

- Ukochanej żonie, Elinor, zostawiam wszystkie moje nieruchomości, ruchomości i cały majątek osobisty. Aktywa mojej firmy w równych częściach przejmują: mój adoptowany syn, Ross Harlow, i moja wnuczka, Wirginia Saxton, o ile zawrą związek małżeński. Jeśli nie spełnią rzeczonych warunków, udziały mają zostać rozdysponowane pomiędzy wszystkich członków zarządu.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zapadła głucha cisza. Gina czuła się tak, jakby dostała cegłą w głowę. Pierwsza odzyskała mowę Roxana.

- Ja tego nie przyjmuję do wiadomości. Mam się zadowolić nędznym milionem, kiedy ona bierze pół firmy? Nie siedź tak, Ross.

- A co chcesz, żebyśmy robili? - zapytał Ross nadzwyczajnie spokojnym głosem.

- Możemy podważyć testament. Oliver nie był w pełni władz umysłowych.

- Nie waż się mówić podobnych rzeczy! - wybuchnęła Elinor. - Oliver doskonale wiedział, co robi. W żyłach Giny płynie krew Harlowów. Ona ma wszelkie prawa do spadku.

Gina zwróciła się do Rossa:

- O niczym nie wiedziałam. Twoja matka powiedziała mi dopiero dzisiaj rano, że Oliver uwzględnił mnie w testamencie, ale nie znała szczegółów.

- To prawda - potwierdziła Elinor. - Nie mówił mi o swoich intencjach, ale całkowicie je rozumiem i nie widzę nic niezwykłego w tym zapisie - oznajmiła stanowczo.

- Ty też straciłaś rozum? - zachnęła się Roxana.

- Nie mów tak do matki! - osadził ją Ross. - Było oczywiste, że Oliver uczyni zapis dla wnuczki. Nie myślałem, co prawda, że posunie się tak daleko, ale jestem pewien, że jakoś rozwiążemy ten problem.

Ciekawe jak? - pomyślała Gina, ciągle zbyt oszołomiona, by zmusić mózg do pracy. Jak Oliver mógł zrobić coś takiego człowiekowi, którego sposobił na swojego następcę? Jak mógł zrobić | to jej?

- Musimy porozmawiać. W cztery oczy - zwrócił się do niej Ross.

W pierwszej chwili chciała odmówić, powiedzieć, że nie, rozmowa powinna toczyć się przy świadkach, ale wstała jak automat i dała się poprowadzić do gabinetu Olwera.

- Ja nie... - zaczęła, siadając, ale Ross pokręcił głową.

- Nie musisz mnie przekonywać. Wszyscy jesteśmy jednakowo zaszokowani. Rozumiem, że Oliver zrobił zapis na twoją korzyść, ale obwarował go dziwnym warunkiem. Jakby nie rozumiał, że stwarza absurdalną sytuację. Trudno. Jeśli nie chcemy podważać testamentu na drodze sądowej, a ja nie mam na to najmniejszej ochoty, pozostają nam dwa wyjścia. - Podniósł dłoń, widząc, że Gina chce coś wtrącić. - Wysłuchaj mnie. Ja mam piętnaście procent udziałów, Oliver miał sześćdziesiąt, reszta należy do członków zarządu. Jeśli nie spełnimy warunku, ktoś przejmie pakiet kontrolny. Tego też nie chcę. - Zamilkł na moment.

- Co oznacza, że pozostaje nam tylko jedno wyjście. - Rzeczowy ton, zamknięta twarz, jakby nie spędzili razem ostatniej nocy; zupełnie obcy człowiek.

- Z twojego punktu widzenia może tak. - Gina wstała z fotela. - Naprawdę myślisz, że wyjdę za mąż za kogoś, kogo praktycznie w ogóle nie znam, po to, żeby... żeby zaspokoić czyjąś żądę władzy? - zakończyła porywczo.

- Nie tylko ja na tym skorzystam - odparł z niewzruszonym spokojem. - Przejmiesz udziały

warte miliony. Nie powiesz mi chyba, że to nic dla ciebie nie znaczy?

Owszem, mogłaby powiedzieć, ale byłoby to kłamstwo. Kto lekką ręką odrzuca miliony?

- Nie powiem-przyznała. -Niemniej pieniądze to nie wszystko, jest jeszcze coś takiego jak uczciwość, prawość...

- Myślisz, że Oliverowi ich zabrakło, gdy stawiał swój warunek?

- Myślę, że choroba zaburzyła jednak jego jasność sądu - powiedziała ostrożnie.

- To nie będzie małżeństwo na zawsze - odezwał się Oliver po dłuższej chwili. - Kiedy uregulujemy już wszystkie formalności, będziemy mogli się rozwieść, a i po ślubie każde z nas będzie mogło żyć własnym życiem. Ja będę, oczywiście, w dalszym ciągu zarządzał firmą. Ty nie musisz się tym zajmować. Będę cię tylko prosił, żebyś odsprzedała mi tyle udziałów, żebym miał pakiet kontrolny.

W Ginie wzbierał gniew. Miniona noc nic dla niego nie znaczyła. Ona nic dla niego nie znaczyła. Zdawała sobie z tego oczywiście sprawę, ale co innego wiedzieć, a co innego słyszeć, że jest się nikim dla kogoś, z kim kilkanaście godzin wcześniej poszło się do łóżka.

- Nie mam tego doświadczenia w biznesie, co ty, ale jeśli już się zdecyduję, chcę zasiadać w zarządzie, przed rozwodem i po nim.

- Nie bądź śmieszna! - Twarz Rossa stężała, - Takie masz pojęcie o zarządzaniu firmą jak ja o sprzedawaniu ciuchów w butik.

- W takim razie wyjaśnij mi wszystkie zawiłości. I tak będziesz miał największy pakiet udziałów. Czterdzieści pięć procent - obliczyła szybko.

Ross zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

- Najwyraźniej pomyliłem się co do ciebie.

- Najwyraźniej - sarknęła. - Nie będę zaprzeczać, że ostatniej nocy było całkiem sympatycznie, ale chcę ci uprzytomnić, że w tej chwili nie ma to najmniejszego znaczenia. Jak zauważyli twoja matka, jestem jedyną osobą, w której żyłach płynie krew Harlowów. Co nie znaczy, że zamierzam przejąć kontrolę nad firmą. Mój dziadek bardzo cię cenił.

Ross skrzywił się, ale Gina, raz obrawszy mocną taktykę, brnęła uparcie dalej. Byłaby idiotką, gdyby zrezygnowała z milionów Olivera.

- Rozumiem, że butik już cię nie obchodzi. Wzruszyła ramionami na te słowa.

- Niech Barbara go sobie prowadzi.

- A twoi rodzice? Jak zareagują?

O tym nie pomyślała, ale teraz już nie mogła się wycofać.

- Jakoś to przeżyją - powiedziała, nie wierząc, że potrafi być taka surowa.

- W porządku. - Ross uśmiechnął się sucho.

- Jutro o dziesiątej zebranie rady nadzorczej. Wszystko działo się za szybko. O wiele za szybko.

- Będę, oczywiście. Pojedziemy razem?

- Michael cię zawiezie. Ja nie będę jechał do biura stąd.
- Masz już zaplanowany wieczór? - zapytała ze słodkim uśmiechem. - Karin Trent?

Ross nie podjął zaczepki.

- Chodźmy powiedzieć matce i Roxanie, co postanowiliśmy. Będziesz miała kłopoty z naszą milusińską, ale nie szukaj u mnie pomocy.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy - oznajmiła twardo, choć wcale nie czuła się taka silna, jak mogło się wydawać. - Pazurki twojej siostry nie są aż tak ostre.

- Nie byłbym taki pewien.

Elinor i Roxana czekały w salonie. Notariusz, spełniwszy, co do niego należało, już poszedł.

- Jeśli uważacie, że zadowolę się nędznym milionem, to grubo się mylicie - przywitała ich Roxa-na tym samym tekstem, który wykrzyczała już kilka razy.

- Dostałaś znacznie więcej, niż ci się należało - stwierdził Ross krótko. - Gdyby to ode mnie zależało, nie dostałabyś nic.

- Nie bądź taki pierwszy sprawiedliwy! - odparowała. - Każdy medal ma dwie strony!

- Twoją stronę już widziałem. Wiele razy. Nie zebraliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o tobie. - Ross spojrzał na matkę. - Zdecydowaliśmy się.

Elinor, choć okoliczności nie były po temu, autentycznie się ucieszyła. Podeszła do Giny i uściskała ją serdecznie.

- Lepszej synowej nie mogłabym sobie życzyć. Gdyby Elinor wiedziała, jak krótko będzie się cieszyć, pomyślała Gina ponuro. Im głębiej brnęła w tę fikcję, tym większe ogarniały ją wątpliwości. Mogła się jeszcze wycofać, wystarczyło powiedzieć jedno słowo.

- Rozumiem, że będziecie chcieli wziąć ślub jak najszybciej. - Elinor spojrzała na syna. - Jeśli wynajmiemy dobrą firmę, przygotują wszystko w miesiąc.

- Nie przesadzajmy - zmitygował matkę Ross.

- Wystarczy ślub cywilny.

- Wykluczone - zachnęła się Elinor. - Nie w tej rodzinie i nie w tym mieście. Musicie mieć uroczysty ślub.

- Nie sądzę.

- A ja sądzę - wtrąciła Gina, w którą wstąpił jakiś diabeł. - Twoja matka ma rację. Ludzie będą oczekiwali uroczystego ślubu.

- Jeśli chcesz brać udział w cyrku medialnym, proszę bardzo. Nie skarż się tylko potem, że twoje życie prywatne stało się własnością tłumów.

- Cichy ślub nie uchroni was od cyrku - powiedziała Elinor. - Najlepiej nie przejmować się mediami. - Tu zwróciła się z uśmiechem do Giny: - Na razie możesz mieszkać tutaj, jeśli masz ochotę. Dopóki nie kupisz sobie samochodu, Michael będzie cię woził. W garażu stoi cadillac Olivera. Na pewno by się cieszył, gdybyś go sobie wzięła.

- Na razie muszę poznać miasto - powiedziała Gina, czując, że wszystko zaczyna wymykać się

spod kontroli.

- Boisz się zgubić w metropolii? - Roxana nie mogła odmówić sobie złośliwości.
- To właśnie powiedziałam. Tak. - Gina nie odwróciła nawet głowy. - Zanim ruszę sama w miasto, przestudiuję dokładnie plan.

- Muszę się napić - odezwał się Ross. – Ktoś jeszcze ma ochotę na drinka?
- Dla mnie za wcześnie - powiedziała Elinor.
- Ja poproszę dzin z tonikiem - zgodziła się Gina.

Roxana ruszyła do drzwi z twarzą wykrzywioną złością. Gina miała ochotę zawołać za nią, że złość piękności szkodzi, co byłoby, oczywiście, strasznie dziecinne. Roxana od pierwszej chwili była do niej wrogo nastawiona, a zapisy zawarte w testamencie jeszcze pogorszyły sprawę.

Była bardzo ciekawa, co też zaszło między rodzeństwem, że Roxana tak zraziła do siebie brata. Nie tylko jego, także Olivera, sądząc po skąpym, zważywszy na jego majątek, zapisie, jaki uczynił na jej rzecz. Tak go w dodatku sformułował, że Roxana mogła jedynie czerpać odsetki od otrzymanego kapitału, ale nie dysponować nim.

Spojrzała na Rossa. Po ślubie każde z nich będzie żyło swoim życiem, tak powiedział, kiedy przed chwilą rozmawiali w gabinecie. Co miało znaczyć, że każde z nich będzie mogło robić, co mu się podoba, co z kolei miało zapewne znaczyć, że Ross będzie się spotykał z innymi kobietami.

Małżeństwo z rozsądku, to wszystko. Ross stał się dla niej kimś znaczącym, nie mogła się tego wyprzeć, natomiast ona dla niego była jedną z wielu.

- Będziesz musiała uzupełnić swoją garderobę - wyrwał ją z zamyślenia głos Elinor. - Jutro możemy umówić się na lunch w mieście, a potem pójdziemy na zakupy.

- Może Gina będzie wolała, żeby przysłano jej rzeczy z Londynu - wtrącił Ross.
- To potrwa, a ona potrzebuje kilku rzeczy już teraz - Elinor rozbłysły oczy, wyraźnie się ożywiła. -Będziesz zapraszana na przyjęcia, różne spotkania towarzyskie, Gino. Niedługo jest raut dobroczynny.

- Wystraszysz tylko dziewczynę - mruknął Ross.

W jego słowach zabrzmiała tak silna nuta protekcjonalności, że Gina nie zamierzała puścić tego płazem.

- Wręcz przeciwnie - oznajmiła z hamowaną złością. - Uważam, że to świetny pomysł, Elinor, a moja dotychczasowa garderoba i tak by się nie nadawała.

Ross wzruszył ramionami.

- Jak uważasz. Dam ci kartę. Konto uruchomią dopiero za dwa, trzy dni.
- Mam własne pieniądze, starczy na zakupy - zachnęła się Gina.
- Wątpię. Elinor chce cię zabrać do naprawdę drogich sklepów.
- On ma rację - przytaknęła matka. - Odpowiednia suknia kosztuje kilka tysięcy dolarów, nie mówiąc o dodatkach. W świątku, w którym będziesz się poruszać, strój świadczy o twojej pozycji.

Gina powoli zaczynała sobie uświadamiać, w co się uwikłała.

- Nie mam wobec tego wielkiego wyboru - stwierdziła.
- Wspaniale! Zjemy lunch U Harry'ego, a potem zaszalejemy - roześmiała się Elinor.

Gina pomyślała, że radość Elinor warta jest każdego poświęcenia z jej strony. Nie cieszyłaby się, gdyby wiedziała, że małżeństwo syna i Giny to tylko chwilowy układ, ale nie wolno było jej teraz tego uświadamiać.

Kiedy Ross wyszedł pół godziny później, Elinor zaczęła wprowadzać Ginę w sytuację w Harlow Inc. Zarząd składał się z dziewięciu osób. Czworo z nich, pod przewodnictwem Warrena Boxhalla, chciało wprowadzić firmę na wolny rynek, czemu przeciwstawiał się Oliver, a teraz Ross.

- Warren nie ma szans na zdobycie pakietu kontrolnego, będzie więc próbował przeciągnąć cię na swoją stronę — wyjaśniała Elinor. - Twoje trzydzieści procent może przeważać szalę.
- Nie zrobię nic, co mogłoby zagrozić firmie.
- Jestem tego pewna. - Elinor uśmiechnęła się.
- Jesteś prawdziwą Harlow. - Zamilkła na moment.
- Wiem, że to małżeństwo to konieczność, ale zobaczysz, że wszystko się ułoży. Wy przecież już coś do siebie czujecie, prawda?

Nie było sensu zaprzeczać, Elinor nie dało się oszukać.

- Może - przytaknęła ostrożnie.
- Tak to się zaczyna, kochanie. Reszta przyjdzie później. Takiej właśnie żony Ross potrzebuje, kogoś, kto potrafi mu się przeciwstawić, przytrzymać mu czasami nosa. - Elinor wybuchnęła śmiechem, widząc minę Giny. - Nie mam złudzeń co do Rossa. Jest bardzo silnym człowiekiem i potrafi być wręcz apodyktyczny.

- Zauważyłam.
- Na jego obronę trzeba powiedzieć, że jeśli już kogoś uzna za przyjaciela, jest lojalny i wierny. Mąż i żona powinni być nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi. Oliver z całą pewnością był moim przyjacielem.

Gina słuchała tego i targały nią wyrzuty sumienia. Miała ochotę powiedzieć, że jej małżeństwo z Rossem to fikcja, ale prawda sprawiłaby Elinor tylko niepotrzebny ból, a tak przez najbliższe tygodnie mogła cieszyć się przygotowaniami do ślubu i wesela. Nie wolno było odbierać jej tej radości.

Roxana gdzieś zniknęła i Gina była pewna, że złościcy nie ma w domu. Jakież było jej zaskoczenie, gdy zastała ją w swojej sypialni, gdy poszła przebrać się do kolacji, skruszoną i całą w uśmiechach.

- Bardzo źle się zachowałam. To chyba zazdrość - odezwała się, zanim Gina zdążyła zareagować. - Traktowałam Olivera jak ojca. Nie wiedziałam o twoim istnieniu aż do dnia przyjazdu tutaj. Wyobrażasz sobie, jaki to był dla mnie szok?

- Zapewne - przytaknęła Gina ostrożnie. - Ja też byłam zaskokowana, kiedy dostałam list od dziadka. Nic nie wiedziałam o swojej rodzinie.

- To musiało być okropne, nie znać swojej matki, swojej prawdziwej matki.  
- Miło byłoby ją poznać, ale los chciał inaczej - powiedziała Gina. - Miałam za to szansę spotkania się z dziadkiem. Przykro mi, że w taki sposób rozdysponował swój majątek - dodała.

Przez twarz Roxany przemknął grymas, którego znaczenia Gina nie potrafiła odczytać.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego zapisał mi tak niewiele?  
- To nie moja sprawa.  
- Nie podobali mu się ludzie, z którymi przestaję - ciągnęła Roxana, jakby nie słyszała jej słów.  
- Uważał, że trzymają się mnie tylko dlatego, że nazywam się Harlow. Chciał mi dowieść, że miał rację.

- I że odwrócą się od ciebie, gdy dowiedzą się, że zostawił ci zaledwie milion?  
- Właśnie. - Roxana westchnęła. - W każdym razie jestem załatwiona.  
- Masz długi?  
- Niestety. Zainwestowałam spore pieniądze i straciłam je, a ludzie, od których je pożyczyłam, zaczynają domagać się spłaty.

- Mogą chyba poczekać, aż testament się uprawomocni? - podsunęła Gina niepewnie.

Roxana zaśmiała się gorzko.

- Zapomniałaś, że mogę korzystać wyłącznie z odsetków.

Gina wreszcie zrozumiała, skąd ta nagła zmiana stanowiska Roxany.

- Ile musisz zwrócić? - zapytała.  
- Trzysta - odpowiedziała Roxana niemal natychmiast.  
- To tyle, co nic.  
- Trzysta tysięcy.

Gina osłupiała. Pożyczanie takiej sumy było szaleństwem, stracenie jej w niepewnych inwestycjach zdawało się czystym koszmarem.

- Prosisz mnie o pomoc? - zapytała w końcu. Roxana rozłożyła ręce.  
- Nie mam do kogo się zwrócić.  
- Poproś matkę albo Rossa.  
- Wolałabym ich w to nie mieszać.

To Gina akurat mogła zrozumieć. Wzruszyła ramionami.

- Dopóki testament nie nabierze mocy prawnej, nie mam dostępu do pieniędzy.  
- Będziesz miała. Ross otworzy ci konto. - Roxana ożywiła się, przewidując bliską wygraną. - A ja będę ci dogonnie wdzięczna.

Do czasu, pomyślała Gina. Gdyby nawet dysponowała potrzebną sumą, Roxana odczytałaby pożyczkę jako dowód jej słabości.

- Przykro mi - powiedziała.

Twarz Roxany w jednej chwili stężała.

- Pożałujesz tego - rzuciła z nienawiścią i wyszła, trzaskając drzwiami.

Gina usiadła ciężko w fotelu. Rodzeństwo niewiele różniło się od siebie. Obydwoje byli jednakowymi egocentrykami i egoistami, obydwój kierowali się wyłącznie własnym interesem.

Roxana zdążyła się już przekonać, że Gina nie da się manipulować, jutro Ross dostanie nauczkę!

Na zebranie zarządu spóźniła się celowo. Kiedy pięć minut po dziesiątej wjechała na odpowiednie piętro, w recepcji powitała ją Penny.

- Wszyscy już czekają, panno Saxton.
- Virginia, w skrócie Gina, wołę, żebyś tak się do mnie zwracała.
- Z przyjemnością.
- Pierwszy dzień w firmie zaczynam od spóźnienia - Gina zaśmiała się.
- To twój przywilej. - Penny uśmiechnęła się, odczytując bezbłędnie zagranie Giny.

Kiedy Penny wprowadziła ją do sali konferencyjnej, panowie poderwali się z foteli. Gina skinęła łaskawie ręką.

- Proszę siadać. Nie bawmy się w protokoły. Podeszła do szczytu stołu, gdzie stał, tak, w dalszym ciągu stał Ross z obojętnym wyrazem twarzy.

- Spóźniłaś się - przywitał ją.  
- Wiem. - Uśmiechnęła się szeroko do zebranych. - To okropne, że kazałam na siebie czekać, ale nie mogłam się zdecydować, co mam na siebie włożyć. Gdzie mam usiąść? - zapytała Rossa.

- Tutaj - wskazał fotel obok swojego.
- Wspaniale. - Zajęła miejsce i omiotła pełnym zainteresowania spojrzeniem skierowane ku niej twarze: tylko na jednej malowało się coś zbliżonego do sympatii.

Ross przeszedł do prezentacji i twarz, na której malowała się przychylność, zapewne pozorna, okazała się należeć do Warrena Boxhalla.

- Proszę, obradujcie, jakby mnie tu nie było - powiedziała radośnie, kiedy Ross wymienił już wszystkie nazwiska. - Słuchaj i ucz się, to moje motto.

Zebranie rzeczywiście potoczyło się swoim torem i Ginie wystarczyło pierwsze pół godziny, by zrozumieć, jak poważnym wyzwaniem jest zarządzanie tak potężną firmą. Jej butik w porównaniu z Harlow Inc. wydawał się dziecinną zabawką. Teraz przejmie go Barbara, należy się jej, w końcu to był jej pomysł.

Najbardziej bała się reakcji rodziców. Informację o pieniądzech powinni jakoś znieść, ale co powiedzą na ślub z Rossem? W każdym razie raczej ucieszą się, niż zmartwią, że to tylko czasowy układ.

Ross zamknął zebranie, odczekał, aż sala opustoszeje i zaatakował:

- Co to było? - zapytał.

Gina zrobiła minę z serii „nic nie rozumiem”.

- O co ci chodzi?
- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Spóźniasz się, a potem udajesz głupią blondynkę - wyjaśnił

spokojnie.

- Tak mnie przecież traktujesz, prawda?

- Jeśli chodzi ci o wczorajszą noc, to mam wrażenie, że poszliśmy do łóżka, bo oboje tego chcieliśmy. I nadal chcemy, mówiąc uczciwie. Nasze małżeństwo wcale nie musi być białym małżeństwem.

- Jestem akurat przeciwnego zdania - odparowała. - Możesz zaspokajać swoje potrzeby gdzie indziej. Nie sądzę, żebyś miał z tym specjalne kłopoty. Ja zamierzam robić to samo - dodała.

Ross przechylił głowę i przyglądał się jej przez chwilę z zainteresowaniem.

- Wrócimy jeszcze do tego tematu - stwierdził w końcu. - Muszę niebawem lecieć do Vancouver. Byłoby dobrze, gdybyś poleciała ze mną.

- Po co? - Gina poczuła, że znowu zaczyna się gubić, nie nadąża za wydarzeniami.

- Myślałem, że to oczywiste. Będziesz odgrywała ważną rolę w firmie, powinnaś wiedzieć, co się dzieje. Harlow w Vancouver to nasz najnowszy hotel. Sam jeszcze go nie widziałem. - Ross spojrział na zegarek. - Pospiesz się. Lada chwila pojawi się matka. Uwielbia zakupy, a tobie potrzebna będzie nowa garderoba, i na bal dobroczynny, i na wyjazd. Matka bardzo cię lubi - dodał łagodniejszym już tonem.

- Ja ją też bardzo lubię i tym bardziej czuję się wobec niej nie w porządku. Tak się cieszy na nasz ślub...

- Doskonale wie, że nie będzie to małżeństwo z miłości. - Ross zebrał papiery i schował do teczki. - Zjadę z tobą na dół. Też jestem umówiony.

Zapewne z kobietą, pomyślała Gina.

- Spotkanie w interesach czy towarzyskie? - nie mogła się powstrzymać.

- Umówiłem się z kobietą, więc pewnie uznasz to za randkę - powiedział cierpko. - Jem lunch z Isabel Dantry. Isabel zajmuje się inwestycjami i jest jedną z najbardziej liczących się doradczyń bankowych w tym mieście.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Szata zdobi jednak człowieka, pomyślała Gina, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze: długa suknia z zielonego jedwabiu, sandaalki z delikatnej skóry, nowa fryzura, na rękę bransoletka z brylantami i brylantowe kolczyki w uszach, wszystko to tworzyło całkiem sympatyczny, acz mocno luksusowy wizerunek godny przedstawicielki rodziny Harlowów.

W ostatnich dniach rzadko widziała Rossa. Miała już swój gabinet, miała własną sekretarkę i na razie jej głównym zajęciem było studiowanie dokumentów związanych z firmą.

Warren Boxhall przpuścił atak niemal natychmiast, pierwszego dnia jej pracy. Pozostała głucha na jego perswazje, ale czuła, że Warren tak łatwo nie zrezygnuje i nadal będzie ją przekonywał, by połączyli siły. Gdyby firma weszła na wolny rynek, zyskałby o wiele więcej w akcjach, niż to, co spływało na jego konto w dywidendach.

Za chwilę Michael miał zawieść Ginę i Rossa na bal charytatywny. Był to jej pierwszy występ publiczny w Los Angeles i czuła ogromną treść. Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro, wzięła torebkę i zeszła na dół. Ross już czekał. Na widok Giny zrobił minę, która już sama w sobie mogła być komplementem.

- Wyglądasz oszałamiająco - przywitał ją i podał ramię.
- Nie czekaj na nas, Michael - rzucił lekkim tonem, kiedy wsiadali do limuzyny. - Wrócimy taksówką.
- To bardzo miło z pana strony. - Michael był trochę zaskoczony. - Lidia się ucieszy.

Ross zamknął szybę dzielącą kabinę pasażerską od szofera i zwrócił się do Giny:

- Zdajesz sobie sprawę, że będziesz dzisiaj wieczorem w centrum zainteresowania? Nie tylko ze względu na wygląd.
- To znaczy, że rozeszła się już wieść o podziale spadku?
- Tak. Próbował już dotrzeć do ciebie ktoś z mediów?
- Nie. - Gina wyraźnie się wystraszyła. - A będzie próbował?
- Z całą pewnością. Historia w sam raz dla mediów. Ktoś może nawet nakręci film o tobie.
- Żartujesz.

Przez twarz Rossa przemknął uśmiech.

- Wszystko się może zdarzyć. - Zamilkł na moment, po czym zapytał: - Jak twoi rodzice przyjęli wiadomość o spadku i ślubie?

- Jeszcze im nie powiedziałam.

Ross ściągnął brwi.

- Dlaczego?
- Sama z trudem mogę ogarnąć, co się dzieje. Już postanowiłam, że zadzwonię do nich jutro.
- Rozumiem, że twoja współpracowniczka też jeszcze nic nie wie?
- Do Barbary też zamierzam zadzwonić jutro.
- Nadal chcesz wycofać się ze spółki i oddać Barbarze waszą firmę?

- Tak. Dochody z butiku nie będą już mi potrzebne.
- To prawda, ale niewiele osób byłoby stać na taki gest. Mam nadzieję, że Barbara potrafi to docenić.

Gina miała teraz inne zmartwienia na głowie. Za chwilę znajdzie się w centrum uwagi kalifornijskiej finansjery: wszystkie oczy zwrócą się w jej stronę. Wkroczy w świat, który dotąd oglądała tylko na ekranie. Nie miała pojęcia, jak przebrnie przez tę próbę. I przez wszystkie następne. Po co przyjęła legat Olivera?

Kiedy podjechali pod Harlow w centrum miasta, natychmiast zaczęły błyskać flesze i w sekundę później otoczyli ich wścibscy reporterzy. Ross zachował zimną krew i zgrabnie wprowadził Ginę do hotelowego holu.

Przedstawił ją tylu ludziom, że po pierwszych prezentacjach twarze i nazwiska zaczęły zlewać się w jedną masę. Kiwała głową, wymieniała uprzejmości, uśmiechała się i myślała z rozpaczą, że nigdy, przenigdy, nie zaaklimatyzuje się w tym świecie.

Nie musi, pomyślała w jakimś momencie. Nie będzie przecież zbyt długo mieszkać w Los Angeles. Bal odbywał się w restauracji na ostatnim piętrze hotelu. Ross i Gina dzielili stolik z Meryl i Jackiem Hortonami, starymi przyjaciółmi Rossa, ludźmi, jak się okazało, serdecznymi i bezpośrednimi. Nawet jeśli dręczyła ich ciekawość, nie dali tego Ginie odczuć.

Składająca się z pięciu dań kolacja jakoś nie pasowała do okazji, zdawała się zbyt wystawna i nie na miejscu, zważywszy na to, że bal zorganizowano z myślą o szlachetnej dobroczynności.

Kiedy wyszli na parkiet i Ross ją objął, a potem lekko musnął wargami w policzek, poczuła, jak bardzo go pragnie.

- Cieszymy się sobą, wieczór nie będzie trwał wiecznie - szepnął jej do ucha.

Powinna mu powiedzieć, żeby zostawił ją w spokoju, ale nie mogła się na to zdobyć. Właściwie Ross miał rację. Dlaczego nie mieliby cieszyć się sobą, dopóki są razem? Lepsze kilka pięknych wspomnień niż nic, mówiła sobie.

Bal zorganizowano z myślą o wsparciu domów dziecka. Przed północą ogłoszono listę donatorów i Gina nie była wcale zaskoczona, słysząc, że Harlowowie są jednymi z głównych darczyńców. Prawdziwą chwilę grozy przeżyła, kiedy prowadząca poprosiła ją i Rossa do mikrofonu, by zaapelowali o kolejne datki. Na szczęście Ross wygłosił błyskotliwy apel i Ginie pozostało tylko stać obok niego, znosić ciekawe spojrzenia wszystkich zaproszonych i uśmiechać się promiennie.

Po sali zaczął krążyć kosz, do którego szczerze wrzucano czekoladki oraz gotówkę, co mile ją zaskoczyło. Na bal przyszli ludzie bardzo bogaci, ale to nie znaczyło, że muszą być hojni dla potrzebujących.

- Namawiam Rossa, by kupił wreszcie dom - powiedziała Meryl, działająca w nieruchomościach, kiedy obie panie poszły poprawić makijaż,

- Ale on nie chce. Nie dziwię się, biorąc pod uwagę, jak mieszka.

- Nie byłam tam jeszcze - przyznała Gina.

- Nie byłaś? - zdumiała się Meryl. - A ja myślałam... - Pokręciła głową. - Nieważne.

Gina nie zamierzała się uchylać.

- Ważne, ważne - powiedziała lekkim tonem
- Jestem pewna, że wszyscy o tym mówią.

Meryl wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację. Muszę przyznać, że to był niezły szok dla znajomych. Dla Rossa na pewno tym bardziej. Do tej pory udało mu się uniknąć małżeństwa. A były takie, które zaginały na niego parol. Szczególnie jedna.

- Jest tu dzisiaj?
- Nie przyszła. Ze względu na ciebie. Jest wściekła. Nikt nie może odprawić bezkarnie Diony Richards.

Gina zeszywniała na moment.

- Mówisz o tej Dionie Richards? - upewniła się.
- Jest tylko jedna Diona Richards. Znasz jej filmy?
- Widziałam kilka.
- Nie jest może największą aktorką świata, ale za to bardzo kasową. Jedno spojrzenie tych wielkich, błękitnych oczu i mężczyźni głupieją. Jacka nie wyłączając - dodała kąśliwie i spojrzała z uznaniem na odbicie Giny w lustrze. - Ty nie musisz obawiać się konkurencji, jeśli idzie o urodę. Figurę też masz znakomitą.

Jakie to ma znaczenie, myślała Gina, wracając do stolika. Rok wcześniej Diona Richards została ogłoszona najpiękniejszą kobietą świata.

Uśmiech Rossa, przeznaczony tylko dla niej, podniósł ją trochę na duchu. Diona mogłaby być sobie najpiękniejszą kobietą świata, ale to nie do niej uśmiechał się teraz Ross.

Wieczór dobiegał końca i goście zaczęli powoli wychodzić. Kiedy się zegnali, Gina dostrzegła w oczach Meryl porozumiewawczy błysk, jakby tamta przeczuwała ciąg dalszy. Nie przejęła się zbyt, robiła to, co setki, tysiące innych kobiet: postanowiła raz żyć chwilą.

Taksówka czekała już przed hotelem. Gina nie protestowała, kiedy Ross podał kierowcy adres Harlow w Beverly Hills. Nie miała nic przeciwko temu, kiedy wziął ją w ramiona i pocałował.

- Cały wieczór myślałem o tym, żeby cię pocałować - szepnął.
- Dlaczego tego nie zrobiłeś? - zapytała. - Mnóstwo par się całowało.

Ross zaśmiał się.

- Nie lubię zaczynać czegoś, czego nie mógłbym skończyć.
- Ja też nie - przytaknęła, usiłując wyraźnie wymawiać słowa, co nie było łatwe zważywszy na ilość wypitego szampana.

Ross pocałował ją znowu i poalkoholowe sensacje na moment ustąpiły: dały znowu znać o sobie, gdy wysiedli z taksówki i Gina poczuła, że kręci się jej w głowie i zbiera na wymioty. To zaraz przejdzie, powtórzyła sobie kilka razy, walcząc z nudnościami.

Nie bardzo wiedziała, jak i kiedy dotarli do apartamentu Rossa. Wiedziała tylko, że przeprowadził ją przez mieszkanie prosto do łazienki. W samą porę.

Miała wrażenie, że atak wymiotów trwał całe] wieki. Żołądek wreszcie się uspokoił, ale w głowie kręciło się jej nadal. Jak mogła być taka głupia? Powiedziała Rossowi, że nie lubi szampana, tymczasem to raczej szampan jej nie lubił, Piła, bo wszyscy pili. Piła dla dodania sobie odwagi.

Teraz płaci za swoją głupotę. Jest pewnie pierwszą kobietą, którą Ross zaprosił do siebie i któn utknęła w jego łazience, z głową w misce klozetowej. Myśl, że będzie musiała teraz spojrzeć im w oczy, przyprawiła ją o kolejny atak torsji.

Obmyła twarz, przepłukała usta i wyszła w końcu z łazienki na niepewnych nogach.

- Lepiej? - zapytał Ross z wyraźną troską w głosie.

Nie miała siły mówić, skinęła tylko głową i poczuła łupiący ból w czaszce.

- Nie bardzo - skwitował grymas, który pojawił się na jej twarzy.

- Przepraszam - wymamrotała. Ross wzruszył ramionami.

- Zdarza się. Powinienem był pamiętać, że nie lubisz szampana.

- A ja nie powinnam była pić. Gdybyś mógł wezwać taksówkę...

- Nigdzie nie pojedziesz - uciął stanowczo. - Przenocujesz w gościnnym pokoju.

- Nie mogę... - próbowała protestować i znowu poczuła nudności. Nie mogła wsiąść do samochodu w takim stanie. - Przepraszam - powtórzyła. - Spodziewałeś się...

Na twarzy Rossa pojawił się kpiący uśmiezek.

- Jakoś to przeżyję. Dojdiesz o własnych siłach do łóżka czy mam cię zanieść?

- Jestem tylko trochę wstawiona, nie sparaliżowana - próbowała zażartować. - Twoja matka nie będzie się denerwować, że nie wróciłam na noc?

- Na pewno nie będzie się denerwować. - Tym razem kpina w głosie miała oznaczać, że Elinor : przewidywała, że „dzieci” spędzą tę noc razem.

Dlaczego właściwie nie, pomyślała Gina. „Dzieci” są przecież dorosłe. Inna sprawa, że w tej chwili nie czuła się ani trochę dorosła.

Ross zaprowadził ją do przestronnej, ładnie urządzonej sypialni.

- Dasz sobie radę? - zapytał jeszcze, zanim zamknął drzwi.

- Tak. Dobranoc, Ross. I dziękuję.

- Nie ma za co.

Kiedy została sama, mogła wreszcie spokojnie popaść w desperację. Zrobiła z siebie idiotkę, i w imię czego? Ross nie zamierzał rozwijać w sobie żadnych głębszych uczuć wobec jej osoby. Istniało nawet duże prawdopodobieństwo, że po dzisiejszej nocy nie będzie żywił żadnych. Poza niejakiem niesmakiem.

Obudziły ją ciche dźwięki muzyki. Uniosła ostrożnie głowę, ale na szczęście nie poczuła łupiącego bólu, zaledwie lekką sztywność karku. Zasłużyła sobie na porządnego kaca, ale nie zamierzała posuwać się tak daleko w skrusze, by teraz żałować, że ją ominął.

O dziwo, było dopiero kilka minut po ósmej Przeszła do łazienki i z bezpiecznego dystansu obejrzała się w lustrze. Włosy nie wyglądały najgorzej, chociaż prezentowałyby się znacznie lepiej, gdyby potraktowała je grzebieniem, ale w torebce miała tylko szminek i puder. Nieważne, Rossów i tak jej wygląd będzie zupełnie obojętny.

Wzięła szybki prysznic i założyła szlafrok kąpielowy wiszący na drzwiach łazienki. Musiały go używać damy odwiedzające Rossa, pomyślała z niechęcią, ale z dwojga złego wolała szlafrok niż swoją wieczorową suknię.

Ross siedział przy stole na balkonie biegnącym przez całą długość salonu. Na widok Giny oderwał wzrok od gazety i uniósł pytająco brwi.

- Doszłam do siebie - powiedziała. - Czy to kawa tak pachnie?

Uniósł bez słowa dzbanek, napełnił kubek i podsunął go Ginie, kiedy usiadła przy stole.

- Wyglądasz jak bobo wyjęte z kąpieli - powiedział uprzejmie.

- A czuję się jak ostatnia łajza - uzupełniła Gina. - Gdzie ja miałam rozum?

- Delegowałaś go widać chwilowo do innych zajęć. Zbyt wiele razy samemu zdarzyło mi się przesadzić z alkoholem, żeby prawić ci teraz morały.

- Na pewno nie doprowadziłeś się nigdy aż do takiego stanu.

- Zwykle kończyło się bólem głowy, to wszystko, ale już nie rób sobie teraz wyrzutów. Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Jesteś głodna?

- Trochę - przyznała. - Jest tu kuchnia?

- Jest, tam za ścianką działową. - Ross wskazał przeciwległy koniec ogromnego pokoju. - Korzystam z niej sporadycznie. Robię sobie kawę, czasem tosty. Posiłki zamawiam w kuchni hotelowej. Na co masz ochotę?

- Mogą być tosty. Sama zrobię - odpowiedziała pośpiesznie, jakby krępowała ją wizja kelnera wtaczającego do apartamentu zastawiony śniadaniem wózek.

- Nie będę cię powstrzymywał. - Ross uśmiechnął się pod nosem. - Zrób też kilka dla mnie, jeśli możesz.

Gina przygotowała grzanki, znalazła dżem miód, masło, ustawiła to wszystko na tacy i zaniosiła na balkon.

- Bardzo domowo to wygląda - ocenił Ross jej starania.

Gina zaśmiała się: nie pozostawało jej nic innego, jak potraktować wczorajszą kompromitacji z przymrużeniem oka.

- Efekt odpowiedniego wychowania. Ross sięgnął po grzankę.

- Ma swoje zalety.

- Nie wydajesz się stworzony do domowego stylu życia.

- Potrafię docenić jego dobre strony.

- Jak ta, że kobieta jest zawsze pod ręką? Nie chciała tego powiedzieć, słowa wymknęły się same, teraz zrobiło się jej głupio.

- Z tym akurat nie masz pewnie kłopotów -dodała, pogrążając się jeszcze bardziej.
- Ostatniej nocy miałem - zauważył i Gin nieco spłoszyła, co go wyraźnie ucieszyło. –Mam u ciebie dług.

- Nic ci nie jestem winna! - obruszyła się
- Bardzo mi przykro, że cię rozczarowałam, ale, jak sam przed chwilą stwierdziłeś, zdarza się.
- Nie denerwuj się. - W szarych oczach zapaliły się iskierki rozbawienia. - Nie żądam natychmiastowych separacji. Zawiozę cię do Buena Vista i po południu lecimy do Vancouver.

Gina patrzyła na Rossa przez chwilę bez słowa: czuła się jak balonik, z którego nagle uszło powietrze. Zupełnie zapomniała o wspólnej podróży.

- Polecimy naszym firmowym samolotem, nie musimy być na lotnisku punktualnie co do minuty. Weź coś do ubrania na dwa, trzy dni. Przyda się też kostium kąpielowy, w Harlow Vancouver są trzy baseny.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mam lecieć z tobą - wykrztusiła w końcu Gina.
- Musisz zdobywać doświadczenie. Jeśli chcesz nadal zasiadać w zarządzie po rozwodzie, musisz wiedzieć, co się dzieje w firmie.

- Nie musisz mi przypominać, że nasze małżeństwo to tymczasowy układ - zirytowała się. - Owszem, czujemy do siebie pociąg, ale to wszystko, przynajmniej z mojej strony.

- Zatem nie mamy się czym martwić - odpowiedział Ross z niewzruszonym spokojem. - Zjedz grzanekę, zanim zupełnie wystygną.

Gina powstrzymała się od dalszej dyskusji. Nie chciała wyjaśniać, dlaczego nie podoba się jej pomysł wspólnej podróży do Vancouver. Ross mógł żartować na temat długu, ale jej wczorajsze ekscesy odstręczyłyby każdego mężczyznę.

- Idę się ubrać. - Ross wstał z fotela. - Do zobaczenia o dziesiątej.

Gina została na balkonie. Włożenie wieczorowej sukni, jedynej rzeczy, w którą mogła się ubrać, nie wymagało czasu. Najrozsądniejszą rzeczą w obecnej sytuacji byłby powrót do domu. Zamiast lecieć do Vancouver, powinna wsiąść do pierwszego samolotu do Londynu. Ale słowo się rzekło i nie mogła się już wycofać, poza tym nie chodziło już tylko o nią, ale i o dobro firmy. Gdyby teraz zerwała układ, Warren z łatwością zyskałby przewagę w zarządzie.

Podniosła się w końcu z fotela i wróciła do mieszkania. Kiedy przechodziła koło sypialni Rossa, drzwi były uchylone, podchwyciła fragment rozmowy telefonicznej.

- Oczywiście, że tak. To było nieuniknione. Wyjeżdżam na kilka dni. Odezwę się do ciebie zaraz po powrocie.

Nie zatrzymując się, Gina weszła do swojej sypialni. Ross rozmawiał z Dioną Richards, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. „To zrozumiałe, że wolałbym pójść na bal z tobą”, dopowiedziała sobie zdanie, które musiało paść. Diona nie zgotowałaby mu takiego zakończenia wieczoru, jakie jej się przydarzyło.

Kiedy wyszła z sypialni w swojej zielonej sukni, Ross już na nią czekał.

- Jest tu jakieś boczne wyjście? - zapytała. -Nie chcę przechodzić przez hol w takim stroju.
- Jest, ale nie gwarantuję, że nikogo nie spotkamy. Trzymaj głowę wysoko, patrz ludziom prosto w oczy. To twoja sprawa, jak jesteś ubrana.

Mimo obaw Rossa udało im się wyjść niepostrzeżenie na dziedziniec gospodarczy hotelu.

- Taksówka czeka przed głównym wejściem. Zaczekaj na mnie, sprowadzę ją tutaj - powiedział Ross.

- Nie, pójdę z tobą. - Gina przełamała się w końcu i z wysoko podniesioną głową pomaszerowała do taksówki.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Do domu dotarli przed jedenastą. Ross nie chciał wejść do środka.

- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Przyjadę po ciebie o drugiej. Włóż coś...
- Sportowego - dokończyła Gina. - Wiem. Po drodze do swojej sypialni nie spotkała nikogo dotarła tam w rekordowym tempie i z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Założyła džinsy, T-shirt i zaczęła pakować rzeczy potrzebne na dwu-, trzydniową wyprawę. Z całkiem zasobnej teraz garderoby wybrała rzeczy proste, odpowiednie dla bizneswoman. W końcu lecieli to Vancouver służbowo i tak zamierzała potraktować te podróże. Kiedy skończyła, zeszła na dół w poszukiwaniu Elinor.

Znalazła ją nad basenem. Na widok Giny Elinor podniosła wzrok znad książki i uśmiechnęła się ciepło.

- Witaj. Kiedy wróciłaś?
- Mniej więcej godzinę temu. - Gina usiadła na leżaku i zerknęła niepewnie na przyszlą teściową. - Nie zapytasz, co się stało?

Elinor wybuchnęła śmiechem.

- Kochanie, wyglądałaś wczoraj tak wspaniale, że nie muszę pytać. Wiedziałam od początku, że jesteście dla siebie stworzeni. Może to nie najlepszy początek małżeństwa, ale dacie sobie radę. Start macie już za sobą.

- Nie byłabym taka pewna - odezwała się Gina, od nowa dręczona skrupułami. - Wypiłam wczoraj za dużo szampana i pochorowałam się. Noc przespałam w pokoju gościnnym.

- Biedny Ross. - W oczach Elinor zabłyśły wesołe chochliki. - Musiał czuć się strasznie nieszczęśliwy. Ale to żaden powód do zmartwienia. Post wzmaga tylko apetyt. Spakowałaś się już?

- Wiedziałaś o tym wyjeździe? - zdziwiła się Gina.

- Ross powiedział mi wczoraj wieczorem, zanim wyszliście na bal. Pokaże ci nowy hotel, a potem macie spędzić weekend na Vancouver Island. Będziecie mieli trochę czasu tylko dla siebie. Po waszym powrocie zabierzemy się do przygotowania ślubu. Weselem zajmie się firma, ale musisz wybrać suknię. Uszyć na zamówienie nikt już nie zdąży, ale na pewno znajdziemy jakąś gotową. Myślałaś już o druhnach?

Gina pokręciła głową.

- Mam dwie kuzynki w twoim wieku. Będą zachwycone, jeśli je poprosimy, żeby były twoimi druhami.

- Świetnie.

Ślub był ostatnią rzeczą, o której Gina miała ochotę rozmawiać. Ross powinien zapomnieć o weekendzie na Vancouver Island, o ile już nie zrezygnował z tego pomysłu po ostatniej nocy. Celibat jest jednak o wiele bezpieczniejszym rozwiązaniem niż baraszkowanie w pościeli.

Przyszły mąż pojawił się pięć minut przed zapowiedzianą godziną, ubrany w džinsy, rozpiętą pod szyją koszulę i lekką marynarkę.



- To wszystko? - zdziwił się, widząc niewielką walizkę.
- Mówiłeś, że jedziemy na dwa, trzy dni.
- Racja. A ty lubisz podróżować z niewielkim bagażem. Zapomniałem. - Spojrzał na matkę. -

Zadzwoń do ciebie wieczorem. Poradzisz sobie sama?

Trochę za późno na martwienie się o matkę, pomyślała Gina, ale Elinor uśmiechnęła się tylko i zapewniła, że da sobie radę.

- Dzisiaj idę na proszoną kolację, jutro mam już umówiony lunch, potem idę na imprezę dobroczynną, nie będę siedzieć w domu. - Spojrzała na Ginę. - Po powrocie opowiesz mi, jak było.

Gina pocałowała ją w policzek.

- Będę prowadziła dziennik - obiecała. Ross spojrzął na zegarek.
- Czas nas co prawda nie goni, ale chciałbym, żebyśmy wystartowali przed zmierzchem.
- Cierpliwość jest cnotą - napomniwała go matka.
- Żebraków - odciął się jej Ross i otworzył drzwi samochodu. - Jedziemy?

Gina wsiadła. Żadnych powtórek, powtarzała sobie po drodze. Już i tak za bardzo się zaangażowała.

Lot przebiegł gładko i w Vancouver wylądowali o szóstej trzydzieści wieczorem. Na lotnisku czekała już limuzyna, która zawiozła ich do hotelu. O ile z zewnątrz robił już wrażenie, to wnętrze wręcz porażało luksusem. Inaczej niż inne hotele wielkich sieci, każdy Harlow projektowany był odmiennie: i architektura, i wystrój miały indywidualny charakter, co przydawało renomy firmie. Ginę i Rossa przywitał dyrektor, po czym zostali ulokowani w sąsiadujących ze sobą apartamentach.

Przebierając się do kolacji, Gina wspominała lot do Vancouver. Ross starał się być miły, powstrzymał się nawet od ironicznych komentarzy, kiedy poprosiła stewardesę o sok pomarańczowy zamiast szampana. Było jednak oczywiste, że stracił dla niej zainteresowanie, czemu nie mogła się dziwić. Powinna przyjąć taką samą postawę.

Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na zabójczego faceta, który wszedł do pokoju, by zabrać ją na kolację, i wszystkie postanowienia rozwiały się natychmiast. Musi z tym jakoś żyć, pomyślała smętnie.

- Ładnie wyglądasz - zauważył uprzejmie.
- Dziękuję. Staram się. Pewnie cały personel już wie, że przyjechałeś - zmieniła temat.
- Że my przyjechaliśmy - poprawił ją. - Zapewne, skoro witał nas sam dyrektor. Mógł sobie tego oszczędzić.
- Wolałbyś przyjrzeć się dyskretnie, jak funkcjonuje hotel?
- Niekoniecznie. Ufam swoim ludziom. Płacę im na tyle dobrze, by wierzyć, że wszystko działa bez zarzutu.

Restauracja, jedna z czterech w hotelu, znajdowała się na pierwszym piętrze. Maitre przywitał ich przy wejściu i zaprowadził do stolika w rogu sali, gdzie mogli czuć się w miarę odizolowani od reszty gości.

Przemysłane oświetlenie, śnieżnobiałe obrusy, kryształ, porcelana, srebrne sztucce, wszystko to świadczyło o klasie hotelu.

- Gdyby miesiąc temu ktoś mi powiedział, że znajdę się w takim otoczeniu, wyśmiałabym go - odezwała się Gina.

Ross spojrzął na nią z niejakim pobłażaniem.

- Przyzwyczaisz się. Za kilka miesięcy ten luksus będzie dla ciebie czymś oczywistym.

Za kilka miesięcy... Wołała nie myśleć o tym, co będzie za kilka miesięcy.

- Tak jak dla ciebie jest oczywisty? - zapytała.

- Poruszam się w tym świecie od dwudziestu lat, a i pierwsze czternaście lat mojego życia nie upłynęło w biedzie. Mój ojciec był bankierem. Do tego kobieciarzem, niestety. Tylko nie mów, jaki ojciec, taki syn, bo przełożę cię przez kolano - zagroził.

- Tutaj, na oczach ludzi dasz przedstawienie? - zainteresowała się Gina. - To może być ciekawe.

Ross zaśmiał się.

- Nigdy nie brakuje ci riposty?

- Tylko kiedy jestem pijana. - Gina skrzywiła się. - Dzisiaj rano czułam się okropnie.

- A wyglądałaś świetnie. Po takiej nocy niewiele kobiet wytrzymałoby test pełnego światła dziennego, ale nie wspominajmy tego incydentu. Ja już zapomniałem.

Podszedł kelner i Gina zamówiła kir, a Ross dla siebie butelkę wina, którego nazwa nic jej nie mówiła. Obserwowała go, jak rozmawia z kelnerem i pragnęła jednego: znaleźć się znowu w jego ramionach, czuć na swoim ciele dotyk jego dłoni.

Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy kelner odszedł i spostrzegła, że Ross przygląda się jej z niekłamanyim zainteresowaniem.

- Pytałem, czy już zdecydowałaś, co będziesz jadła - wyjaśnił uprzejmie.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Dla mnie melon i łosoś - wymieniła pierwsze dania, które przyszły jej do głowy.

W czasie kolacji już się pilnowała. Wypytywała Rossa o kwestie dotyczące firmy, a on chętnie wprowadzał ją w różne detale.

- Dzwoniłaś do rodziców? - zagadnął przy kawie.

- Nie miałam czasu.

- Miałaś kilka godzin - wytknął jej. - Nie sądzisz, że powinnaś ich jednak poinformować?

Gina bezradnie wzruszyła ramionami.

- To będzie dla nich szok.

- Oczywiście, ale to żaden powód, żeby odkładać rozmowę. Sam mam do nich zadzwonić?

- Wykluczone! Byłoby jeszcze gorzej. Jutro do nich zadzwonię.

- Co im powiesz?

- Tyle, ile muszę. Nie chcę mówić, że nasze małżeństwo będzie fikcją. Twoja matka też nie zdaje sobie z tego sprawy, wiesz o tym?

- Tak... takie odniosłem wrażenie.
- Nie chcesz powiedzieć jej prawdy?
- Nie - przyznał. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Przeżywa trudny okres, niech ma przynajmniej tę radość. Swoim rodzicom też nic na razie nie mów.

Tak sucho i rzeczowo o tym mówi, pomyślała Gina smętnie.

- Powinniśmy byli zdecydować się na cichy ślub cywilny, tak jak chciałeś - powiedziała. - Sprawa wymyka się spod kontroli.

- Teraz już za późno. Musisz się pogodzić z sytuacją. Ja też, niestety.
- Dużo będzie gości? - zapytała Gina po chwili.
- Jeśli moja matka zacznie sporządzać listę, przynajmniej dwieście osób.
- Ludzie z filmu też?
- Także. Wyjąwszy Karin Trent, jeśli o nią ci chodzi - dodał z przekąsem.

Nie o Karin akurat myślała, ale nie próbowała protestować. Jeśli Diona Richards rzeczywiście miała plany matrymonialne wobec Rossa, wątpliwe, by pojawiła się na ślubie, co wcale nie musiało oznaczać końca znajomości tych dwojga. Ross zapewne wyjaśnił już gwieździe, dlaczego się żeni.

Było dopiero po dziesiątej, ale Gina miała już dość.

- Chciałabym się już położyć - powiedziała.
- Marnie spałam ostatniej nocy.
- Oczywiście. - Ross wstał równocześnie z nią.
- Trochę odpoczynku dobrze nam zrobi.

Gina zmarkotniała. To oczywiste, że Ross stracił wszelkie zainteresowanie jej osobą.

W holu kręciło się jeszcze sporo gości. Wjechali na swoje piętro windą wewnętrzną, zamiast wybrać bardziej efektowną, kursującą w szklanym szybie przecinającym fasadę hotelu.

Przed drzwiami apartamentu Gina wyjęła z torebki klucz magnetyczny, a że dłonie jej drżały, upuściła go, oczywiście, na dywan. Ross podniósł kartę, przesunął ją przez szczelinę w zaniku i pchnął drzwi.

- Do zobaczenia na śniadaniu - pożegnał się i odszedł, zostawiając ją samą, kompletnie zdruzgotaną.

Powinna traktować całą sprawę zimno, rozsądnie, ale nie potrafiła panować nad emocjami i czuła, że najbliższe tygodnie będą dla niej prawdziwym piekłem.

Kończyła śniadanie, kiedy pojawił się Ross. Miał na sobie ten sam garnitur co poprzedniego wieczoru, zmienił tylko koszulę i tryskał energią, gotów zaraz przystąpić do pracy.

- Dyrektor oprowadzi nas po hotelu - oznajmił od progu. - Wolałbym rozejrzeć się tu sam, ale Conroy mógłby poczuć się urażony. - Zerknął na wózek z resztkami jedzenia. - Jak ci smakowało śniadanie?

- Doskonałe. Ale też nie spodziewałam się niczego innego. - Gina podniosła się i powiedziała dziarskim tonem: - Nie będę ci potrzebna w czasie obchodu hotelu. Mogę tylko zawadzać. Idźcie we

dwójkę, a ja tymczasem zajrzę do hotelowych sklepów.

- Do sklepów możesz zajrzeć kiedy indziej. Jeśli z nami nie pójdziesz, Conroy odbierze to jako osobistą zniewagę.

- Do tego nie można dopuścić - w głosie Giny zabrzmiał sarkazm. - Miejmy nadzieję, że nie będzie nas oprowadzał cały dzień.

- Wątpię - Ross uśmiechnął się ledwie zauważalnie. - Mam już zaplanowane popołudnie. Wtedy będziesz mogła wybrać się do sklepów.

- Interesy? - zapytała i poniewczasie ugryzła się w język.

- W pewnym sensie - przytaknął Ross, wyraźnie już rozbawiony. - Wrócę przed kolacją.

Którą zjesz sobie sam, miała ochotę powiedzieć. Na pewno umówił się z kobietą. Był jak marynarz, który ma każdym porcie dziewczynę.

Obejrzeni hotel, zjedli lunch z panem Conroyem i jego zastępcą, Neilem Baxterem, młodym jak na zajmowane stanowisko, ale bardzo rzutkim człowiekiem, i o trzeciej Ross wyszedł do miasta, nie mówiąc Ginie, dokąd idzie. Nie miała prawa go pytać, a on nie musiał się jej opowiadać. Każde z nich żyje przecież własnym życiem, mówiła sobie, ale wyobraźnia podsuwała jej ponure wizje: Ross z kobietą, w łóżku, rozrzucone ubrania na podłodze, splecione nagie ciała w skłębionej pościeli.

Wyprawa do ekskluzywnych sklepów w arkadzie handlowej hotelu pozwoliła jej na chwilę zapomnieć o zazdrości. Ceny były astronomiczne, ale że nie wypadało nie kupić niczego, zdecydowała się na beżowy kostium.

Kiedy wychodziła z butik z ubraniami, natknęła się na Neila Baxtera.

- Idę właśnie na herbatę do Express Lounge, pójdzie pani ze mną? - zaproponował.

Gina chętnie przyjęła zaproszenie, rada, że ma jakieś towarzystwo.

Popołudniową herbatę serwowano z pełnym zachowaniem rytuału: porcelanowe filiżanki, srebrne tace, imbryczki, do tego duży wybór ciastek...

- Nie tylko Anglicy tu przychodzą - pochwalił się Neil. - Pojawiają się też goście, którzy w swoich krajach nie celebrować popołudniowej herbaty. To bardzo miły zwyczaj. - Uniósł do ust filiżankę, upił łyk i uśmiechnął się z aprobatą.

- Wyborna.

- Jak w domu - zawtórowała mu Gina.

Na moment zaległo milczenie, po czym Neil zagadnął z niejakim wahaniem:

- To prawda, że panią i pana Harlowa łączą wyłącznie interesy?

Powinna mu odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, ale miała już dość udawania.

- Prawda - przytaknęła. - To się nazywa małżeństwo z rozsądku.

Pozałowała tych słów, ledwie je wypowiedziała, ale nie mogła ich już cofnąć. A zresztą, czy to ważne? - próbowała się uspokajać. Jedyna osoba, która miała jakieś złudzenia na temat tego małżeństwa, była daleko, ale nawet ona w końcu pozna prawdę.

- Jeśli zatem zaproszę panią na kolację, nie popełnię nic złego?

Kompletnie zaskoczona, Gina próbowała obrócić propozycję Neila w żart:

- Widzę, że wy, Kanadyjczycy, nie marnujecie czasu.
- Kto nie ryzykuje, ten nie zyskuje - odpowiedział Neil.

W pierwszym odruchu Gina chciała odmówić. Z drugiej jednak strony, dlaczego nie miałyby pokazać Rossowi, że ona też może się z kimś spotkać? Dlaczego ma wyczekiwać, aż pan Harlow raczy się pojawić i zabrać ją na kolację?

- Dobry pomysł - powiedziała. - Ale nie tutaj
- Oczywiście - zgodził się Neil skwapliwie.
- Znam odpowiednie miejsce. O której?
- Raczej wcześniej niż później. Powiedzmy o siódmej?
- Doskonale. Taksówka będzie czekała przed hotelem za dziesięć siódma. To niedaleko stąd.

Źle zrobiła, ale nie mogła się już wycofać. Poza tym wątpliwe, by Neil miał cokolwiek innego na myśli, jak tylko chęć przypodobania się współwłaścicielce firmy.

Po powrocie na górę pilnie nasłuchiwała, czy Ross przypadkiem nie wrócił, przykładając nawet ucho do drzwi, ale w sąsiednim apartamencie panowała głucha cisza. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zostawić kartki, ale w końcu uznała, że nie musi opowiadać się przed Rossem. Zresztą ten pewnie nie wróci do hotelu na noc, pomyślała, rozgrzeszając się ostatecznie.

Przebrała się, poprawiła makijaż, po raz ostatni zerknęła w lustro i zadowolona z efektu zjechała na dół. Neil czekał już na nią w holu. Odprowadzani ciekawymi spojrzeniami personelu wyszli z hotelu i wsiedli do taksówki.

Restauracja okazała się mała, zaciszna i bardzo ekskluzywna. Neil zaproponował, by zamówili chateaubriand na dwie osoby i Gina zgodziła się obojętnie: prawdę mówiąc, najchętniej nic by nie zamawiała.

W czasie kolacji starała się jak najmniej mówić o sobie, za to zachęcała Neila, by opowiedział o własnych planach i dotychczasowej karierze.

- Jeszcze dwa lata, James odejdzie na emeryturę i przejmę po nim stanowisko - cieszył się. - Proszę tylko nie myśleć, że zaprosiłem panią, żeby ułatwić sobie awans - zapewnił pospiesznie.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy - skłamała gładko.

Pili właśnie kawę, kiedy odezwał się telefon Neila. Wzywano go pilnie z powrotem do hotelu.

- Muszę niestety wracać. Zaczynają zjeżdżać uczestnicy konferencji, która zaczyna się jutro i recepcja ma jakieś kłopoty.

- Obowiązki przede wszystkim - stwierdziła Gina sentencjonalnie, rada, że znalazł się powód, by zakończyć kolację.

Pożegnali się w holu i Gina wróciła na górę, pewna, że Ross albo nie wrócił, i już nie wróci do rana, albo je kolację w którejś z hotelowych restauracji. Jakież było jej zaskoczenie, gdy po wejściu do apartamentu zobaczyła go siedzącego w fotelu.

- Powsinoga wróciła - przywitał ją.

- Jak tu wszedłeś?

- Otworzyłem drzwi, które łączą nasze apartamenty - wyjaśnił i zmierzył ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów. - Powiedziałem, że wrócę na kolację.

- Tak? Widocznie nie dosłyszałam - powiedziała obojętnym głosem. - Ja już jadłam. Neil Baxter zaprosił mnie do bardzo sympatycznej restauracji. Miałam miły wieczór, a teraz chciałabym odpocząć, jeśli pozwolisz. W ogóle nie powinieneś tu wchodzić pod moją nieobecność, zacznijmy od tego.

- Gina była coraz bardziej zirytowana.

- Wyjdę stąd, kiedy uznam za stosowne. Najpierw musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy. Otóż, kiedy mówiłem, że każde z nas ma prawo do własnego życia, miałem na myśli dyskretne korzystanie z tego prawa, a nie ostentacyjne umawianie się z personelem hotelowym. Teraz wszyscy mówią tylko o tym!

- I co z tego? - zapytała Gina. - Ci twoi wszyscy doskonale wiedzą, że to małżeństwo wyłącznie dla interesów.

- Nie obchodzi mnie to, co wiedzą wszyscy!

W oczach Rossa pojawiły się gniewne błyski.

- Twoja duma ucierpiała? Męska duma to bardzo czuły narząd - kpiła Gina. - Ja przynajmniej nie spędziłam całego popołudnia...

- Tak? - zainteresował się Ross. - No właśnie, gdzie twoim zdaniem spędziłem całe popołudnie?

- Zapewne z kobietą - stwierdziła chłodno. Musiałeś sobie jakoś powetować dwie ostatnie noce. Ross nie był już zły tylko rozbawiony.

- No proszę, a ja myślałem, że zachowam się z prawdziwą galanterią, jeśli dam ci się wyspać. Gina też straciła cały impet do dalszej kłótni.

- Nie pochlebiaj sobie - to wszystko, co udało się jej powiedzieć, z takim skutkiem, że jeszcze bardziej rozbawiła Rossa.

- Dlaczego zaprzeczasz rzeczom oczywistym?

Przedwczoraj wieczorem byłaś tak samo gotowa iść do łóżka jak ja, tylko szampan stanął nam na drodze. Dzisiaj też jesteś gotowa...

- A ty j esteś najbardziej bezczelnym... - urwała, zdawszy sobie sprawę, że zaraz zacznie mówić zdaniami z taniej farsy. - Nie zamierzam dostarczać ci rozrywki. Żadnej.

- Myślę, że jednak dasz się przekonać. - Ross podniósł się z fotela, podszedł i objął ją. Nie protestowała, kiedy zaczął ją całować. Nie protestowała również, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Przywarli do siebie paleni tym samym pragnieniem, a kiedy wreszcie mogli zaczerpnąć oddechu po gwałtownym orgazmie, Ginę nadal otaczał gęsty obłok rozkoszy, skutecznie izolujący od świata.

- Skończyło się szybciej, niż powinno - mruknął Ross, unosząc głowę. - Jesteś niebywałą kobietą, Gino Saxton.

Raczej niebywałą idiotką, że pozwoliłam sobie na powtórkę, pomyślała cierpko, wracając do

rzeczywistości.

- To krew Harlowów - odparła lekkim tonem. Oczy Rossa się śmiały.
- Jedno jest pewne, nie sposób się z tobą nudzić.
- Robię, co w mojej mocy. - Nagle coś sobie uświadomiła i zeszywniała. - Nie zabezpieczyłeś się!
- Nie miałem czasu o tym pomyśleć. – Ross spoważniał, spojrzął na Ginę. - Myślałem, że ty jesteś zabezpieczona.

Gina już miała powiedzieć prawdę, ale ugryzła się w język.

- Oczywiście, że jestem.
- No to wszystko w porządku. - Pocałował ją w usta i usiadł na krawędzi łóżka. - Zaraz wracam. Mamy przed sobą całą noc. Kilka nocy, jeśli chodzi o ścisłość. Wynająłem na weekend dom na wyspie.

Dla Rossa było oczywiste, że jest gotowa korzystać z chwili, którą podsuwa los. I Gina była gotowa, nie bacząc na konsekwencje.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na wyspę płynęli w deszczu: siąpiła ciepła mżawka otulająca wszystko wokół miękką mgiełką. Wysiedli w Nanaino, gdzie czekał już samochód należący do hotelu.

- Byłeś tu już kiedyś? - zapytała Gina, podziwiając widok wypiętrzających się nad wodą wzgórz porośniętych gęstym lasem.

- Raz. Dawno temu - odparł Ross. - Z kolegami ze studiów. Mieszkaliśmy pod namiotem, wędkowaliśmy, trochę polowaliśmy. Trzech smarkaczy spragnionych wakacji na łonie natury. Wiele razy obiecywałem sobie wrócić tutaj, ale nigdy mi sienie udawało.

Dom wynajęty przez Rossa znajdował się nad niewielką zatoczką: z jednej strony otwierał się stąd zapierający dech w piersiach widok na cieśninę, z drugiej na wzgórze.

- Poprosiłem w agencji, w której załatwiałem wynajem, żeby zaopatrzyli lodówkę - powiedział Ross, kiedy Gina weszła do kuchni. - Powinno być wszystko, czego będzie nam trzeba przez tych kilka dni.

- Wczoraj załatwiałeś wynajem? -upewniła się.

- Między innymi. - Ross objął ją i przyciągnął do siebie. - Jesteś piękna - szepnął.

- Są piękniejsze - odparła, starając się, by zabrzmiało o lekko.

- Jeśli mówisz o dziewczynach z Los Angeles w ogóle, większość nie może z tobą konkurować.

Nie musisz nakładać dziesięciu warstw makijażu, żeby dobrze wyglądać.

Pocałował ją, a potem kochali się na skórze niedźwiedziej przed kominkiem i Gina, bezpieczna w zacisznym domu, na odizolowanej od świata wyspie, pozbyła się wszelkich zahamowań.

- Ten, kto powiedział, że Angielki są zimne, musiał mieć wyjątkowego pecha - zauważył Ross w jakimś momencie.

- Albo miał pecha, albo sam był seksualnie sprawny inaczej - uzupełniła spostrzeżenie. - Czego o tobie powiedzieć nie można.

Ross zaśmiał się.

- W każdym razie jeszcze nie teraz. Może po siedemdziesiątce...

- Tak wcześnie zamierzasz spasować?

Ross nie odpowiedział: zapadł w drzemkę. Patrzyła na jego twarz i nie mogła uwierzyć, że jeszcze miesiąc temu nie miała pojęcia, że ktoś taki chodzi po świecie.

Zakochała się w nim, wreszcie musiała to sobie powiedzieć. Zakochała się w nim po uszy od razu, w pierwszych dniach po przyjeździe do Los Angeles. Już wtedy trudno byłoby zapomnieć o nim, ale teraz miało to być po stokroć trudniejsze. Jakże trafnie brzmiało stare przysłowie Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz".

Jeszcze nie teraz. Nie powinna jeszcze myśleć o rozstaniu. Przesunęła delikatnie palcami po gładkiej skórze Rossa, a on natychmiast otworzył oczy i uśmiechnął się, gotów znowu się kochać.

Zmierzchało już, kiedy wreszcie powiedzieli sobie, że dość tych rozkoszy. Wzięli prysznic, a potem usmażyli sobie steki na grillu za domem. Gina przygotowała sałatę i otworzyła butelkę wina,



przysięgając w duchu, że wypije tylko kieliszek. Chciała utrwalić w pamięci każdą chwilę wspólnego weekendu. Dla Rossa być może by! to tylko seks, dla niej ziszczenie wszelkich marzeń, wszelkich wyobrażeń o łóżku z tą jedyną osobą, na którą w końcu kiedyś trafiamy w swoim życiu.

Od czasu do czasu w cieśninie pojawiały się światła przepływającego statku, ale poza tym mogłyby znajdować się tysiące mil od ich wyspy.

- Chciałabym już tu zostać na zawsze –szepnęła w jakimś momencie.
- Znam to uczucie - przytaknął Ross. - Człowiek ma czasami ochotę uciec od życia.
- Zależy ci jednak na firmie, prawda?
- Oczywiście. Chociaż firma to nie wszystko. Oliver to rozumiał. Szczególnie w ostatnich latach - opowiadał Ross. - Dużo podróżowali, on i matka

Mają inne domy oprócz tego w Buena Vista, rezydencję na Barbados i na Bahamach. Teraz Elinor będzie pewnie chciała je sprzedać.

- Nie przejmiesz ich?
- Może tę na Barbados, jeśli matka się zgodzi. Sam urządziłem ten dom. Spodoba ci się tam. Piękna wyspa. Możemy spędzić tam miesiąc miodowy, jeśli chcesz.

Gina zaśmiała się sucho.

- Pewnie!
- Dlaczego by nie? Nie masz ochoty na kilka tygodni w tropikach?

Gina spoważniała, spojrzała uważnie na Rossa.

- Ty mówisz serio?
- Jak najbardziej. Po ślubie będzie nam potrzebny odpoczynek.

Kiedy po kąpieli w podgrzewanym basenie i dobrej kolacji siedzieli na tarasie, przytuleni do siebie, opatuleni w grube szlafroki, z kieliszkami wina w dłoniach, Gina czuła się jak w niebie i tylko czasami przez głowę przemykała jej smutna myśl, że to nie dzieje się naprawdę.

- Widziałeś się z Roxaną po otwarciu testamentu? - zapytała, wracając do rzeczywistości.
- Nie - odparł Ross. - Zniknęła znowu.
- Nie martwisz się o nią? Ross wzruszył ramionami. - Jest dorosła. - Dlaczego jesteś tak źle do niej usposobiony? - zapytała ostrożnie. - Chodzi o pieniądze?

- Prosiła cię może o pożyczkę? - W głosie Rossa zabrzmiała ostra nuta.

- Tak - przyznała Gina. - Roxana ma długi, które musi spłacić.

- Mam nadzieję, że jej nic nie dałaś?

- Na razie nie mam przecież pieniędzy. Nawet gdybym chciała jej dać. Chodziło o dość dużą sumę,

- Jak dużą?

- Trzysta tysięcy. Ross zaklął pod nosem.

- Powinienem był wiedzieć. - Gina żałowała, że poruszyła temat Roxany, ale jeśli dziewczyna miała wkrótce zostać jej szwagierką, musiała powiedzieć Rossowi, co się dzieje. - Zawsze te same

sztuczki. Doprowadziła Gary'ego do bankructwa, zanim się z nim rozstała. Zrujnowała mu życie, zniszczyła zdrowie. Ostrzegałem go przed ślubem, mówiłem, jaka jest Roxana, ale on nie chciał słuchać. Był w nią zapatrzony jak w obraz. A teraz nie żyje. Utonął podczas rejsu jachtem. Ciała nigdy nie znaleziono.

Gina wstrzymała oddech.

- Nie myślisz chyba...
- Kto wie? Tak czy inaczej, Gary'ego już nie ma. Studiowaliśmy razem w Yale.
- Był z tobą wtedy na wyspie?
- Tak. - Ross odstawił kieliszek. - Rozmawiałaś z rodzicami? - zmienił temat.

Gina pokręciła głową.

- Na co czekasz?
- Zbieram odwagę. Poczują się odsunięci.

Szczególnie matka. Już czuje się jak ktoś, kto jest na drugim planie.

- Nie ma powodów. Muszą się dowiedzieć. Jutro niedziela, na pewno zastaniesz ich w domu.

Ross miał rację. Powinna powiedzieć rodzicom o swoich planach, o zmianach.

- Zadzwoń - obiecała.
- Przypilnuję cię - zagroził. - Nie możesz się wycofać, Gino. Gra toczy się o zbyt wysoką stawkę.
- Nie wycofam się. Myślisz, że zrezygnuję z milionów Olivera?
- Nie, nie przypuszczam - powiedział Ross cynicznym tonem.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu zadzwoniła do domu. Ojca nie było, grał w golfa, natomiast matka nie ukrywała żalu, że Gina tak długo się nie odzywała.

Wiadomość o spadku przyjęła fatalnie, a dowiedziawszy się o ślubie, zaniemówiła na kilka sekund.

- Jak możesz wychodzić za kogoś, kogo dopiero poznałaś? - zapytała wreszcie.
- Wiem, co robię, mam - zapewniła ją Gina, kłamiąc okrutnie.

Ross wyjął jej z dłoni słuchawkę. Wystraszył ją tym gestem, bo nie zdawała sobie sprawy, że stoi obok niej.

- Dzień dobry, pani Saxton. Rozumiem, co musi pani czuć, ale zapewniam, że zaopiekuję się Gina najlepiej, jak potrafię. Wspaniale ją pani wychowała. Czekam, kiedy będę mógł poznać panią i pani męża. Moja matka również. Zadzwoń sama niebawem do państwa. - Słuchał przez moment odpowiedzi, po czym powiedział: - To nie byłoby dobre rozwiązanie. - Oddał słuchawkę Ginie. - Chce jeszcze rozmawiać z tobą.

- Właśnie powiedziałam - zaczęła matka - że jeśli już chcecie się pobierać, to raczej tutaj. Co to znaczy: niedobre rozwiązanie?

- Zbyt daleko dla wielu osób, które chciałyby być na ślubie - próbowała tłumaczyć Gina. - Znacznie prościej będzie, jak wy przyleciecie tu. Będziecie, prawda?

- Jakże moglibyśmy nie być - w głosie Jean Saxton zabrzmiała rezygnacja. - Twój ojciec przeżyje szok.

- Wiem - bąknęła Gina. - Zadzwoń do was jutro.

Odłożyła słuchawkę. Nienawidziła siebie w tej chwili. Rossa też.

- To największe świństwo, jakie popełniłam w życiu - wybuchnęła.

Ross przygarnął ją do siebie, pocałował w skroń, w ucho, w szyję...

- Wracajmy do łóżka - szepnął.

- Czy nie potrafisz myśleć o niczym innym poza seksem?

Ross spojrział na burzę jasnych włosów, okalających rozpaloną twarz.

- W tej chwili nie - powiedział zgodnie z prawdą.

Wylądowali w Los Angeles w poniedziałek wczesnym popołudniem i pojechali prosto do Buena Vista, gdzie czekała już stęskniona Elinor.

- Roxana się odzywała? - zapytał Ross, kiedy siedzieli na tarasie z drinkami w dłoniach.

- Nie - powiedziała Elinor. - Dzwoniłam do niej kilka razy, bez skutku. To normalne - skwitowała.

- Sprawdź, co się dzieje - obiecał Ross. - Spróbuję też zadzwonić do jej przyjaciół we Frisco.

- Masz do niej jakąś konkretną sprawę, że tak ci zależy na kontakcie? - chciała wiedzieć Elinor.

- Próbowала pożyczyc od Giny trzysta tysięcy na pokrycie długów. Chciałbym wiedziec, kto jest szczęśliwym wierzycielem.

- Nie powinnam była o tym wspominać - zmartwiła się Gina.

Ross pokręcił głową.

- Bardzo dobrze zrobiłaś. Nikt jej nie pożyczyc takiej sumy, więc dług ciągle nad nią wisi. Chyba że był to rodzaj testu, na ile dasz sobą kierować.

Podniósł się i odstawił nietknięty drink.

- Zostawię was same - przeprosił. - Na pewno macie sporo do omówienia.

- Rozumiem, że weekend się wam udał - powiedziała Elinor z uśmiechem, kiedy Ross zniknął w domu.

- Owszem, jeśli nie liczyć reakcji moich rodziców na wiadomość o ślubie.

- Zastanawiałam się, kiedy im powiesz - przyznała Elinor. - Może ja powinnam z nimi porozmawiać?

- Ross rozmawiał już z mamą. Nie wiem, na ile zdołał ją ułagodzić, w każdym razie obiecała, że będą na ślubie.

- Ja też do nich zadzwonię - obiecała Elinor.

- Zatrzymają się tutaj, oczywiście. A twoja współniczka?

Gina do tej pory nie pomyślała o Barbarze. Jeszcze jedna rozmowa telefoniczna, którą będzie musiała odbyć.

- Nie zostawi raczej sklepu - powiedziała.  
- To zrozumiałe, tym bardziej że jest teraz sama. Ross mówił mi, że chcesz przekazać jej swoje udziały.

- Nie będę ich już potrzebować. - Gina zaśmiała się. - Czasami mam wrażenie, że żyję w krainie baśni.

- Przyzwyczaisz się - zapewniła Elinor. - Za rok będziesz się dziwiła, jak mogłaś żyć inaczej. Za rok prawdopodobnie nie będzie jej już w Los Angeles. Nie zamierzała tu zostawać po rozwodzie.

- Głupio mi, że powiedziałam o prośbie Roxany - zmieniła temat.

Elinor westchnęła i wzruszyła ramionami.

- To nic nowego. Pożyczyła pieniądze, spodziewając się hojnego zapisu. Powinnam była jej powiedzieć, że Oliver zraził się do niej po śmierci Gary'ego. Gary był jedynym synem najbliższych przyjaciół Olivera - podjęła po chwili milczenia. - Oliver winił się o to, że pozwalał jej na zbyt wiele. Wszystko miała podane na srebrnej tacy. Gary robił wszystko, żeby ją zadowolić, ale ona nigdy nie miała dość. - Elinor machnęła dłonią. - Nie mówmy już o tym. Mamy inne sprawy na głowie. Jutro zaczniemy szukać sukni ślubnej. Zaproszenia są już zredagowane, trzeba je tylko wydrukować. Chciałabym, żebyś przejrzała listę gości. Gina pokręciła głową.

- To nie ma sensu. Nie znam przecież nikogo.

- Przynajmniej część naszych przyjaciół musisz poznać przed ślubem. Jeśli chodzi o samo przyjęcie, myślałam, żeby zaaranżować całość w trzech kolorach: burgund, limonowy i kremowy, ale może masz własną koncepcję?

Gina raz jeszcze pokręciła głową. Była szczęśliwa, że Elinor ma czym zająć myśli w tym trudnym dla niej czasie. A że ślub był fikcją? Z tym musiała radzić sobie sama.

- Moi rodzice przylatują jutro - powiedziała Gina, wchodząc do gabinetu Rossa.

Zajęta przygotowaniami do ślubu rzadko go widywała w ostatnich dniach. Byli razem na kilku przyjęciach, spotykali się przelotnie w biurze, ale od weekendu w Vancouver nie spędzili razem ani jednej nocy.

- Będziesz mógł jechać ze mną po nich na lotnisko?

- Powiniennem móc - powiedział Ross, nie podnosząc głowy znad papierów. - Jem lunch z Isabel, ale potem jestem wolny. Isabel Dantry, doradczynie inwestycyjna, o której ci wspominałem - przypomniał, czując wiszące w powietrzu pytanie. - Sama powinnaś skorzystać z jej usług. Poznam was ze sobą.

- Nie wiem, czy mam ochotę inwestować. Nie cierpię na syndrom akumulacji kapitału - zauważyła Gina z przekąsem. - Pieniądze mnie cieszą, ale nie chcę ich mnożyć.

Ross spojrział na nią uważnie.

- To twoje autentyczne zdanie czy po prostu przekora? - zainteresował się.

- Czemu miałyby służyć przekora?

- Ty mi powiedz. Przyszedłeś tutaj w jakimś celu.  
- Przyszedłam zapytać, czy pojedziesz ze mną na lotnisko.  
- Mogłaś równie dobrze zadzwonić.  
- Może w takim razie mam dość całej tej sytuacji - wybuchnęła. - Może żałuję, że zgodziłam się na nasz układ.

- Za późno - oznajmił Ross podejrzenie spokojnym tonem. - Spaliłeś za sobą mosty, kiedy powiedziałaś „tak”.

Pomyślała, że zrobiła coś znacznie gorszego, zakochując się w nim. Nic dla niego nie znaczyła, była tylko instrumentem, środkiem do osiągnięcia celu.

- Wytrzymaj - odezwał się. - Za cztery dni będziemy na Barbados, na naszej prywatnej plaży. Będziemy pływać nago i kochać się pod gwiazdami.

- Po prostu idylla. - Gina zerknęła na zegarek. - Muszę już iść.

- Umówiłaś się z matką? - zagadnął jeszcze Ross, kiedy wstała z fotela.

- Tak. Umówiłyśmy się na dole, w holu. Michael mają przywieźć. Ja przyjechałam cadillakiem. Najwyższa pora, żebym sama zaczęła poruszać się po mieście.

- Oczywiście. - Ross zagłębił się na powrót w papiery. - Do jutra - mruknął, nie zwracając już uwagi na Ginę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Saxtonowie przylecieli późnym popołudniem, zmęczeni długą podróżą. Z Rossem przywitani się chłodno.

- Nie tak to sobie wyobrażaliśmy - powiedział Leslie Saxton na wstępie - ale Gina jest dorosła i sama podejmuje decyzje. Prosimy tylko o jedno, opiekuj się nią dobrze. Jest nam bardzo droga.

- Mnie również jest bardzo droga - zapewnił Ross.

Z pewnością, zważywszy na to, ile by stracił, gdyby nie zdecydowali się na małżeństwo, pomyślała Gina z przekąsem.

Elinor przywitała gości serdecznie, pozwoliła Ginie wskazać im ich pokój i poprosiła, by zeszli na lekką kolację, kiedy już ogarną się trochę po podróży.

- Rozumiem, dlaczego nie chcesz zrezygnować z tego, co masz tutaj - powiedziała Jean, kiedy szli w trójkę do pokoju. - To zupełnie inny świat. Niepotrzebnie tylko pospieszyliście się ze ślubem.

Gina powiedziała rodzicom tylko tyle, że dostała w spadku udziały firmy, resztę zatajając.

- To był warunek testamentu - wyznała teraz. Jean zatrzymała się w pół kroku.

- Mam rozumieć, że nic do niego nie czujesz?

- Tego nie powiedziałam. Po prostu pobierzemy się wcześniej i to wszystko.

- Ale nie jest to małżeństwo z miłości?

- Nie w potocznym sensie.

- A są jakieś inne? - obruszyła się Jean. - Zmieniłaś się, Gino. Jest w tobie coś twardego, czego wcześniej nie było.

- To się nazywa pewność siebie - stwierdziła lekkim tonem. - Niezbędna cecha, jeśli chcesz przetrwać w tej dżungli. Nie musisz się martwić o mnie, mamę. Naprawdę wiem, co robię.

- Już mi to mówiłaś, ale ja nie mogę się nie martwić.

- Nie stójmy tak - wtrącił Leslie dyplomatycznie. - Porozmawiamy później.

Gina zostawiła rodziców w ich pokoju i zeszła na dół. Było jej głupio, wstydziła się, że ich oszukuje. Nie tylko ich, także Elinor.

Kiedy wyszła na taras, Ross spojrzał na nią bystrym wzrokiem.

- Kłopoty?

- Powiedziałam im o warunku Olivera.

- Może lepiej było pozostawić ich w błogiej nieświadomości?

- I czekać, że ktoś inny objawi im prawdę?

- Jeśli myślisz o tym, żeby się wycofać, daj sobie spokój - oznajmił Ross twardym tonem.

- Teraz już się nie wycofamy. Co się z tobą dzieje? Skąd ten ponury nastrój? Do wczoraj wszystko było w porządku.

- Próbowałam przekonać samą siebie, że pieniądze zrekompensują to wszystko, czego nie mamy. Myliłam się.

- Uważam, że mamy całkiem sporo - pocieszył ją Ross.

- Mówisz o seksie? - Gina wzruszyła ramionami. - Seks można mieć zawsze. Nie martw się, dam sobie radę. Zbyt się już przyzwyczaiłam do życia w luksusie, żeby rezygnować z niego dla zasad. Udało ci się skontaktować z Roxaną?

Ross przyjął gwałtowną zmianę tematu bez mrugnięcia powieką.

- Jest w Phoenix. Siedzi tam od kilku tygodni. Jest z jakimś facetem, którego poznała we Frisco.  
- Przyjedzie na ślub?  
- Nie rozmawiałem z nią. On odebrał telefon, powiedział, że Roxana odpoczywa i że przekaże jej wiadomość. Nie wiem, czy przyjedzie i niewiele mnie to obchodzi.

Na tarasie pojawili się rodzice Giny w towarzystwie Elinor i Ross podniósł się z fotela.

- Mogę zaproponować coś do picia, zanim usiądziemy do stołu? - zagadnął pogodnym głosem.  
- Po długiej podróży szklaneczka czegoś mocniejszego dobrze państwu zrobi.

Konwersacja przy stole kuląła i chociaż Elinor starała się jak mogła, nie odniosła wielkiego sukcesu. O dziesiątej Jean oznajmiła, że musi się położyć, bo zasypia na siedząco.

Kiedy Elinor poszła w jej ślady, Gina pospiesznie dopiła swoje wino.

- Ja też powinnam się już położyć - powiedziała.  
- Zaczekaj - zatrzymał ją Ross. - Musimy porozmawiać.  
- Nie mam do powiedzenia nic ponadto. Nie ten czas, nie to miejsce, jeśli myślisz o seksie.

W szarych oczach pojawił się gniewny błysk.

- Gdybym myślał o seksie, nie siedzielibyśmy tutaj. Przepraszam, jeśli uważasz, że ostatnio cię zaniedbywałem. Byłem bardzo zajęty.

- Jak długo musimy być małżeństwem? - zapytała, siłąc się na spokój.

Przez twarz Rossa przemknął ledwie widoczny grymas.

- Kilka miesięcy.  
- Łatwo u was dostać rozwód?  
- Łatwo, jeśli obie strony tego chcą.  
- Może powinniśmy spisać intercyzę - zaproponowała Gina. - W końcu dysponujesz znacznie większym majątkiem niż ja.

- Jeśli musisz rozmawiać w ten sposób, to rzeczywiście lepiej się już kładź do łóżka.

Ross podniósł się, Gina też wstała.

- Będziesz tu jutro?  
- Mam odebrać mojego pierwszego drużbę z lotniska o piątej. Być może przyjedziemy tutaj na kolację. Jeśli nie, zobaczymy się w kościele - to rzekłszy, odwrócił się i wyszedł.

Gina stała przez chwilę na środku salonu, myśląc, że byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby Oliver nie próbował wyrównywać przed śmiercią krzywd wyrządzonych przed laty. Żyłaby nadal spokojnie w swoim dawnym świecie, nieświadoma istnienia Rossa.

Następnego dnia Ross zjawił się w Buena Vista o szóstej, w towarzystwie swojego pierwszego drużby, Brady'ego Leesona, który przywitał się z Gina serdecznie, jak z bliską znajomą. Ross

natomiast zachowywał się sztywno, wyraźnie zły, obrażony na „narzeczoną”. Jutro o tej porze będzie jeszcze bardziej zły i obrażony, pomyślała, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by się rozchmurzył.

Obaj panowie pożegnali się zaraz po kolacji, Gina też poszła wcześniej do swojego pokoju. Była prawie pewna, że czeka ją bezsenna noc, tymczasem zasnęła prawie natychmiast i przespała całą noc spokojnym snem bez snów, by obudzić się o siódmej rano.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Lunch zjadła tylko dlatego, że Elinor i Jean zmusiły ją, by coś przełknęła. Piąta po południu to dziwna pora na ślub, ale w Kalifornii nie taka niezwykła, jak by się mogło wydawać.

O pierwszej pojawiły się bliźniaczki, które poznała już wcześniej i które miały być jej druhami.

Zaraz potem przyjechały fryzjerka i wizażystka. Leslie nie wystawiał nosa z pokoju: wyszedł dopiero wtedy, kiedy się już przebrał w specjalnie na tę okazję kupiony garnitur.

Elinor, Jean i drużyna jechały do kościoła białą limuzyną. Ginę i jej ojca wioził rolls-royce, pięknie utrzymany oldtimer.

Gina spodziewała się, że przed kościołem będą czyhać reporterzy, ale nie takich tłumów gapiów, którzy cisnęły się za barierkami. Media oczywiście też się stawiły i kiedy wysiadła z samochodu, oślepiły ją błyskające flesze. Wiele ją kosztowało, by uśmiechać się cały czas: panna młoda musi przecież być promienna.

Odetchnęła w przedścionku kościoła, ale nie na długo, bo odezwały się pierwsze tony Kanonu Pachelbela, ojciec podał jej ramię i kiedy ruszyli nawą główną do ołtarza, wszystkie oczy skierowały się na nią.

Także szafirowe oczy Diony Richards, która, chociaż Gina nie widziała jej nazwiska na liście gości, pojawiła się jednak w kościele. Dlaczego nie? Wśród zaproszonych i niezaproszonych musiało być sporo przyjaciółek Rossa.

Na jego widok serce zabiło jej mocniej, poczuła ucisk w gardle. Stał koło ołtarza w błękitnym smokingu, tyle jeszcze zdołała zobaczyć, bo resztę ceremonii pamiętała później jak przez mgłę: uroczyste słowa kapłana, ślubowanie, zakładanie obrączek, składanie podpisów w księdze parafialnej, wreszcie wyjście z kościoła, u boku mężczyzny, który był teraz jej mężem.

- Dzięki Bogu już po wszystkim - powiedział Ross, kiedy wsiedli do samochodu, który miał ich zawieźć na przyjęcie. - Wyglądasz wspaniale!

- Czuję się jak eksponat - prychnęła i dodała już lżejszym tonem: - Nie spodziewałam się takich tłumów.

- Śluby zawsze są atrakcją dla gapiów - stwierdził Ross. - Przed nami jeszcze przyjęcie, więc się zmobilizuj. Potem będziemy mieli czas na relaks. Wszystko przygotowane, nie powinno być żadnych problemów.

Poza jednym, o którym jeszcze nie wiesz, pomyślała Gina. Tę noc mieli spędzić jeszcze w Los Angeles, a rano wylatywali na Barbados.

Po przyjeździe do hotelu, państwo młodzi i rodzice ustawili się do witania gości. Ginie mdlała



dłoń od uścisków, twarz zeszywniała od przyklepionego uśmiechu. Szczerze się ucieszyła, gdy podeszła do niej Meryl, ale radość trwała krótko, bo oto zaraz potem zbliżyła się Diona.

- Gratuluję - zamruczała gardłowo, nie próbując nawet podać Ginie ręki, po czym natychmiast zapomniała o niej i zwróciła się do Rossa: - Szczęściarz z ciebie. Naprawdę milutka!

- Prawda? Cieszę się, że przyszedłeś, Diono.

- Nie mogłabym przepuścić takiej okazji - powiedziała z emfazą i odeszła.

Świadomość, że Ross spał z nią, że najprawdopodobniej nadal z nią sypiał, była dla Giny trudna do zniesienia.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - szepnął. - To już prawie koniec powitań.

- Roxana się nie pojawiła - odszepnęła Gina, chcąc oderwać myśli od Diony. - Odzywała się do ciebie?

- Nie. - Ross zabrzmiał obojętnie, ale na pewno czuł żal. Roxana była przecież jego jedyną siostrą.

- Twojej matce musi być przykro.

- Roxana tak często sprawia jej przykrość, że Elinor zdążyła już się z tym pogodzić.

Gina zostawiła tę uwagę bez odpowiedzi. Bliskość Rossa sprawiała, że nie potrafiła ani jasno myśleć, ani tym bardziej artykułować swoich myśli.

Po złożonej z pięciu dań kolacji, po zaprawionych humorem przemówieniach i toastach wyszli jako pierwsi na parkiet, dając początek zabawie.

- Jeszcze pół godziny i uciekamy stąd - obiecał Ross, całując ją.

Ale uciec nie było wcale łatwo. W czasie jednego z kolejnych tańców zbliżył się do nich gość, którego twarzy Gina nie pamiętała. Poklepał jowialnie Rossa po ramieniu i zaproponował odbijanego. Ross wycofał się z parkietu, ale już po chwili tańczył z Dioną. Gina obserwowała ich ukradkiem, co chwila zerkając w tamtą stronę. Sprawiali wrażenie bardzo sobie bliskich, a ją ogarnęła zimna furia. Tego jednego dnia mógł się przynajmniej powstrzymać!

Wróciła do stolika, przy którym siedzieli również Thorntonowie, i zaczęła nalewać szampana.

- Noc jeszcze młoda! Napijmy się. Ross spojrzał na nią pytająco.

- Ile wypiałś?

- Nie liczyłam - rzuciła beztrząsco, chociaż była absolutnie trzeźwa. - Jakie to ma znaczenie?

Nie siadam przecież za kierownicą.

- Wylatujemy o piątej rano. Będziesz zmęczona - próbował ją przestrec. - Już północ.

- Godzina duchów! - zawołała Gina. - Trzeba za to wypić. Posłuchaj, grają naszą piosenkę. - Nie miała pojęcia, co to za melodia właśnie rozbrzmiewa, nigdy wcześniej nie słyszała chyba tego utworu.

- Rzeczywiście - przytaknął Ross i wyciągnął dłoń, zapraszając pannę młodą do tańca.

- Widzę, że uparłaś się grać - powiedział, kiedy już znaleźli się na parkiecie i mógł ją objąć.

- Jeśli tak to chcesz nazywać... Uśmiechnij się, kochanie. Patrz na nas. Nie chcesz chyba dać

mediom powodu do spekulacji.

- Nikt z mediów nie wszedł na przyjęcie - wyprowadził ją z błędu. - Co mówiłaś w Vancouver o dawaniu przedstawień?

Gina zaśmiała się perliście.

- Pan młody aresztowany za pobicie panny młodej na przyjęciu weselnym. To by dopiero była sensacja.

- Uspokój się.

- Oczywiście. Już milczę. Mam knebel na ustach.

- Czemu to robisz? - zapytał Ross po chwili.

- Doskonale wiesz czemu. - Gina spoważniała, przestała szarżować. - Chodzi wyłącznie o to, by nie stracić udziałów Olivera, prawda? Będę twoją żoną, bo nie chcę wystawiać nazwiska Harlow na pośmiewisko, ale sypiać z tobą nie będę.

- Nie wierzę - powiedział Ross. - Musiałabyś być z lodu, a nie jesteś, o czym oboje mogliśmy się przekonać.

- Och, możesz znaleźć sobie kogoś innego. - Gardło się jej ścisnęło, kiedy to mówiła, ale brnęła dalej. - Jest mnóstwo chętnych. Nie jestem ci niezbędna. Znajdą się inne. Choćby Diona Richards. Ślicznie razem wyglądacie.

W oczach Rossa pojawiła się kpina.

- „Ślicznie” to ostatnie słowo, które może kojarzyć się z piękną Dioną. Ona nie ma z nami nic wspólnego. Musimy sobie wyjaśnić parę spraw.

- Jestem gotowa.

Ross sprowadził ją z parkietu. Była zdumiona własnym zachowaniem, a jego musiała przyprawić o prawdziwy szok. Poprzysięgła sobie jednak, że będzie twarda, konsekwentna. Najwyższa pora, by Ross zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem o równie silnej woli, jak jego.

Pożegnała się z rodzicami, którzy następnego dnia wracali do Anglii.

- Zadzwoń do was z Barbados - obiecała. Elinor uściskała serdecznie syna i synową.

- Jedźcie i wracajcie szczęśliwi.

Kiedy wysiadali z taksówki przed wejściem do Beverly Hills Harlow, zbliżała się druga. Ross nie odzywał się przez całą drogę, milczał również, gdy szli do jego apartamentu i kompletnie zaskoczył Ginę, kiedy otwarłszy drzwi, chwycił ją na rękę i przeniósł przez próg.

- Jeszcze jeden obyczaj za nami, jeszcze jeden przed nami - stwierdził i, nie zważając na gwałtowne protesty, zaniósł ją do swojej sypialni, położył na wielkim łóżku, po czym zaczął metodycznie rozpinać drobne guziczki sukni.

- Nie waż się mnie dotykać - zawołała Gina. - Powiedziałam ci wyraźnie: nie!

Ross zaśmiał się.

- Zaraz zobaczymy - powiedział i dopiero po kilku długich minutach mógł dodać: - Musimy porozmawiać. Poważnie porozmawiać, bez walki na słowa. Zgoda?

- Zgoda - przytaknęła cicho.

- Obydwoje wiedzieliśmy od samego początku, na co się decydujemy. To, że się sobie podobamy, było swego rodzaju bonusem. I może być nadal, jeśli przestaniesz robić ze mnie ostatniego drania.

- Mam cię polubić takiego, jakim jesteś, czy mam nie przypominać, że jesteś draniem? - Gina próbowała uściślić propozycję Rossa.

- O właśnie, znowu te twoje riposty! - westchnął z rezygnacją. - Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy cieszyć się tym, że jesteśmy razem.

Dobrze nam ze sobą, czego właśnie przed chwilą dowiedliśmy, nie po raz pierwszy zresztą.

- Dowiedliśmy tyle tylko, że jestem słabsza od ciebie - stwierdziła Gina cierpko.

- Myślisz, że mógłbym cię zmusić do czegokolwiek wbrew twojej woli?

Pokręciła głową.

- Nie zniżyłbyś się do tego.

- Cieszę się, że odkryłaś we mnie jedną dobrą cechę. A zatem? - Ross czekał na odpowiedź.

- Zatem masz rację - zgodziła się i dodała pojednawczo: - Powinniśmy cieszyć się tym, że jesteśmy razem.

W oczach Rossa pojawił się wesoły błysk.

- Mam na myśli bardzo intensywne bycie razem - wyjaśnił. - Co powiesz na przypieczętowanie naszego paktu w sposób uświęcony tradycją?

- Wydawało mi się, że właśnie go przypieczętowaliśmy.

- Powiedzmy, że to było preludium. Reszta dopiero przed nami.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Barbados okazało się cudowne, willa urocza. Przez pierwsze dni kąpali się w oceanie, wylegiwali na plaży, zwiedzali wyspę i kochali się przy księżycu.

Pierwsza rysa na tej idylli pojawiła się któregoś dnia podczas lunchu, który jedli w jednym z luksusowych hoteli, jakich pełno na wyspie.

Gina co prawda zauważyła, że z drugiego końca sali obserwuje ich jakaś piękność, ale nie spodziewała się po powrocie z toalety zastać damy przy ich stoliku, pogrążonej w rozmowie z Rossem.

- Dzień dobry! - zawołała dama, rozbawiona jakąś uwagą poczynioną przez Rossa. - Jestem Samantha Barton. Ross właśnie mi powiedział, że jesteście w podróży poślubnej. Nie podeszłabym, gdybym wiedziała.

- Sam mieszka na wyspie - wyjaśnił Ross.

- Prowadzi pracownię designerską.

- Kilka lat temu uciekłam z Los Angeles. Nie chciałam brać udziału w wyścigu szczurów - dodała Samantha. - Jak ci się tu podoba?

- Cudownie - powiedziała Gina uprzejmie.

- Sama mogłabym tu mieszkać.

- Szczególnie w willi Harlow. Korzystałam z gościny w niej na samym początku, zanim się tu urządziłam.

- Jesteś przyjaciółką rodziny? - zagadnęła Gina.

- Znajomą. Robiłam jakieś zlecenie dla Elinor. To Ross zaproponował, żebym zamieszkała tymczasowo w willi. - Tu uśmiechnęła się promiennie do Rossa. Zbyt promiennie, jak na gust Giny, choć mówiła sobie, że nie powinno jej obchodzić, czy tych dwoje coś kiedyś łączyło.

- Urządzam dzisiaj wieczorem małe spotkanie towarzyskie - rzuciła Sam, wstając od stolika. - Może wpadniecie?

- Przyjedziemy - obiecał Ross, zanim Gina zdążyła wymówić się od zaproszenia.

- Wspaniale - ucieszyła się Sam. - Bądźcie po ósmej - dodała i wstała od stolika.

- Nie wydajesz się zachwycona - zauważył Ross, kiedy zostali sami.

- Nie mam jakoś ochoty spotykać ludzi, których najpewniej nigdy więcej nie zobaczę.

- Przez tydzień z nikim się nie spotykaliśmy. Pomyślałem, że miło będzie znaleźć się znów w towarzystwie.

- Skoro tak, poj edziemy tam - powiedziała Gina ze sztucznym uśmiechem i na tym rozmowa się skończyła.

Samantha przywitała ich jak honorowych gości, kiedy wieczorem pojawili się w jej domu, po czym natychmiast odciągnęła Rossa: chciała poznać go z jakimś miejscowym biznesmenem, który zamierzał właśnie sprzedać należący doń hotel. Ginę zostawiła w towarzystwie niejakiego Adriana, dystyngowanego pana w średnim wieku.

- Na miejscu Rossa nie odstępowałbym cię na krok - zagał rozmowę Adrian z mocną staroświecką galanterią, ale Gina puściła komplement mimo uszu.

- Od dawna znasz Samanthę? - zapytała wprost.

- Od ponad roku. Mieszkamy ze sobą. - Uśmiechnął się, widząc lekkie zdziwienie w oczach Giny. - Mam czterdzieści sześć lat. Między nami jest podobna różnica wieku jak między tobą i Rossem.

- To twój dom? - wypytywała Gina dalej.

- Tak. Zbudowałem go niedawno, a Sam zaprojektowała wnętrza. Jest bardzo zdolna. - Adrian zamilkł na moment. - Podobno Ross jest jej starym przyjacielem, ale czuję, że było między nimi coś więcej.

Gina starała się zachować niewzruszoną twarz.

- A gdyby rzeczywiście? Adrian wzruszył ramionami.

- Przeszłość Sam mnie nie obchodzi, pod warunkiem, że jesteśmy sobie wierni. Nie myślisz podobnie?

Może myślałaby podobnie, gdyby była w prawdziwym związku. Ale tego nie, mogła powiedzieć głośno.

- Nie zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała wymijająco. - Uważam to za rzecz oczywistą.

- Nie ma rzeczy oczywistych - stwierdził Adrian sentencjonalnie.

Jakby czytając w słowach Adriana przestrozę, Gina rozejrzała się po ogromnym salonie, ale nie dostrzegła nigdzie Samanthy i Rossa. Natknęła się na nich dopiero dużo później, kiedy wracała z Adrianem na taras, obejrzawszy wspaniały ogród, który otaczał willę.

- Pokazałam Rossowi nasz nowy jacht - oznajmiła Sam z uśmiechem. - Namawiałam go, żeby kupił podobny, o ile zdecyduje się zatrzymać dom. A wy gdzie byliście? - zmieniła temat.

- Pokazywałem Ginie ogród - wyjaśnił Adrian pozornie bez troskim tonem, ale w jego głosie słyszało się lekkie napięcie: Rossa i Sam nie było prawie godzinę.

- Jak udała się rozmowa z tym hotelarzem? - zagadnęła Gina. - To jakaś sensowna propozycja?

- Nie dla naszej firmy - odparł Ross i zaproponował: - Może zatańczymy? - Kilka par już kołysało się na tarasie w takt muzyki.

- Coś cię gnębi? - zapytał ją, kiedy zaczęli tańczyć. - Przed chwilą byłaś w zupełnie dobrym nastroju.

- Nic mnie nie gnębi. A byłam w dobrym nastroju, bo Adrian jest bardzo miłym człowiekiem. Samantha dobrze wybrała.

- On też - dodał Ross. - Udana z nich para.

- Bardziej udana niż z nas? - Słowa same wymknęły jej się z ust i Gina natychmiast ich pożałowała.

Ross milczał przez moment, w końcu zapytał:

- Czy za każdym razem, kiedy spotykam jakąś swoją znajomą, mają się odbywać podobne

sceny?

- Nie, oczywiście, że nie - Gina próbowała się wycofać. - Oboje jesteśmy wolni. Rzeczywiście myślisz o tym, żeby zatrzymać willę? - zmieniała temat.

- Być może - odpowiedział enigmatycznie. - Nie podjąłem jeszcze decyzji. - Przytulił Ginę do siebie i szepnął jej do ucha: - Pragnę cię.

Droga powrotna szosą nad oceanem, pod rozgwieżdżonym niebem była rozkoszna. Gina napawała się pięknem wieczoru. Mało prawdopodobne, by miała jeszcze kiedyś odwiedzić Barbados. Mogła oczywiście wrócić tu sama, ale wiedziała, że tego nie zrobi: bałaby się wspomnień.

Elinor nie posiadała się ze szczęścia, że „dzieci” wreszcie wróciły: tęskniła, wielki dom wydawał się taki pusty.

- Chyba go sprzedam i kupię mieszkanie w mieście - stwierdziła, kiedy usiedli z drinkami w dłoniach na tarasie.

- Mam lepszy pomysł - odezwał się Ross. - Zamieszkać w moim apartamencie w Harlow, a my przeprowadzimy się tutaj.

Gina zaniemówiła z wrażenia. Nie rozumiała, po co Rossowi ogromna rezydencja w Buena Vista.

Elinor natomiast przyjęła propozycję entuzjastycznie i Ginie nie pozostawało nic innego, jak się zgodzić.

- Zatem postanowione - zamknął sprawę Ross. -W poniedziałek możemy zacząć myśleć o przenosinach.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zwrócił się do Giny, kiedy Elinor weszła do domu, by zatelefonować do swojego projektanta wnętrz, Maurice'a.

- Poza tym, że lubię być uprzedzana, nie - odparła Gina kąśliwym tonem.

- Pomysł przyszedł mi do głowy dopiero wtedy, gdy matka wspomniała o kupnie mieszkania. Nie chcę, żeby pozbywała się tego domu, niech zostanie w rodzinie. Poza tym Meryl i Jack wreszcie przestaną suszyć mi głowę. Od lat namawiają mnie, żebym zdecydował się na własny dom, a i ty będziesz czuła się znacznie lepiej tutaj niż w Harlow.

Przyznawała w duchu rację Rossowi. Penthouse był co prawda wygodny, ale brakowało jej tam ogrodu.

- Myślisz, że Elinor będzie zadowolona z przeprowadzki? - upewniała się jeszcze.

- Na pewno. Od śmierci Olivera o tym myśli. Przy pomocy Maurice'a urządzi wnętrza po swojemu. Ty też możesz wprowadzić zmiany tutaj, jeśli chcesz.

- Nie warto, biorąc pod uwagę, że będę tu mieszkała raptem kilka miesięcy - odpowiedziała Gina, starając się panować nad głosem.

Zaległa długa cisza, wreszcie Ross zapytał: - Nadal zamierzasz po rozwodzie zasiadać w zarządzie firmy?

- Wątpię. Być może wrócę do Anglii. Tak czy owak, mogę ci odstąpić część udziałów, żebyś miał pakiet kontrolny.

Ross nie zareagował na tę ofertę.

- Co będziesz robiła po powrocie do Anglii?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może będę podróżować. Poza Włochami, Hiszpanią i teraz Kalifornią nie byłam nigdzie. Zawsze marzyłam o tym, żeby zobaczyć Syberię, Wielki Mur, Taj Mahal, Dolinę Królów.

- To brzmi jak wyprawa dookoła świata - zauważył Ross z lekką kpina. - Sama tak będziesz podróżować?

- Najprzyjemniejszy sposób podróżowania. Ale na razie to tylko mgliste plany.

- Jeśli chcesz rzeczywiście odsprzedać mi część swoich udziałów, spiszemy odpowiednią umowę - podjął Ross przerwany wątek. ~ Potrzebuję zaledwie sześć procent, żeby uzyskać pakiet kontrolny. Ty zachowasz dwadzieścia cztery procent, od których raz na pół roku będziesz pobierała dywidendy. Reszta to już twoja sprawa.

- Świetnie - powiedziała Gina, choć nic nie było świetnie. Pomysł z podróżami też nie był świetny, bo co za przyjemność oglądać cuda świata, kiedy człowiek nie ma z kim podzielić się wrażeniami.

Ross wyjął telefon z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz, zrobił jakąś nieokreśloną minę, ale odebrał połączenie. Musiał mieć włączony tryb cichy, bo Gina nie słyszała dzwonka.

- Tak. - Słuchał przez chwilę. - Wybacz, ale w żaden sposób nie dam rady. Odezwę się do ciebie.

Wsunął telefon do kieszeni, a w Ginie natychmiast odezwały się podejrzenia.

Na tarasie pojawiła się Elinor z trochę niewyraźną miną; Maurice zgodził się zająć penthouse'em pod warunkiem, że zacznie prace od zaraz.

- To żaden problem - uspokoił ją Ross. - Możemy wynieść się stamtąd choćby jutro i niech Maurice robi sobie, co mu się żywnie podoba.

Elinor spojrzała niepewnie na Ginę.

- Przepraszam cię, kochanie. Chyba znowu dałam się ponieść własnym planom. Jeśli potrzebujesz więcej czasu...

Gina pokręciła głową z uśmiechem, a Rossowi posłała wściekłe spojrzenie. Uniósł tylko brwi. Albo naprawdę nie domyślał się, o co chodzi, albo udawał. Znowu została odsunięta na bok. W dodatku ten telefon, który jeszcze pogarszał sprawę. Z pewnością był od kobiety.

- Mów - zachęcił, kiedy wsiedli do samochodu. - Czuję burzę w powietrzu.

- Nie lubię takich sytuacji - powiedziała przez zęby. - Najpierw zamiana, potem natychmiastowa przeprowadzka. Dopóki jesteśmy małżeństwem, chciałabym mieć jednak coś do powiedzenia.

- Będę podejmował decyzje, które uznam za właściwe i kiedy uznam za właściwe - akcentował dobitnie każde słowo. - To moje życie, a ty, jak sama przed chwilą powiedziałaś, wyjedziesz stąd za kilka miesięcy.

Gina nic nie odpowiedziała i reszta drogi upłynęła w milczeniu. Po powrocie do hotelu Ross poszedł prosto pod prysznic. Zbierając jego rozrzucone rzeczy z podłogi, wyczuła w kieszeni spodni komórkę. Nie mogąc opanować ciekawości, wyjęła aparat i wyświetliła ostatnie połączenie przychodzące: Diona, tak jak się domyślała. Ross powiedział, że oddzwoni. Zapewne, żeby się umówić. Teraz żałowała, że pokusiło ją, by sprawdzić numer. Schowała telefon.

Kolację zjedli w restauracji hotelowej. Maitre wyraził żal, że się wyprowadzają, i zapewnił, że wszyscy w hotelu dołożą wszelkich starań, by starsza pani Harlow czuła się tu dobrze.

- Ciągle mam uczucie, że Elinor popełnia błąd - odezwała się Gina, gdy maitre odszedł. - Jest przyzwyczajona do zupełnie innego trybu życia.

- Zmiana otoczenia dobrze jej zrobi - uspokoił ją Ross. - Z Buena Vista wiąże się zbyt wiele wspomnień. W twoim przypadku może być podobnie - dodał po chwili milczenia.

Gina pokręciła głową.

- Nie mam żadnych wspomnień. Raz tylko widziałam dziadka, zawsze będę tego żałować.

- To jego wina, nie twoja. Przynajmniej odszedł ze świadomością, że próbował naprawić wyrządzone krzywdy.

- Tak. - Gina uniosła kieliszek. A teraz oni próbowali oszukać Olivera przez swoje fikcyjne małżeństwo. Ciekawe, czy Rossowi przyszła ta myśl do głowy? Być może rzeczywiście choroba zaćmiła umysł Harlowa. - Mówiłeś mi, że widziałeś kiedyś zdjęcie mojej matki. Chciałabym je zobaczyć, jeśli to możliwe.

- Obawiam się, że nie. Znalazłem je przypadkiem, wiele lat temu. Korzystałem z komputera w gabinecie Olivera, chciałem coś wydrukować, szukałem papieru i zobaczyłem je w szufladzie biurka. Oliver musiał je usunąć albo schować, bo matka nigdy potem już go nie widziała. W każdym razie jesteś bardzo podobna do Jenny.

Przeprowadzka do Buena Vista przebiegła gładko. Poza rzeczami osobistymi nie mieli właściwie nic do przewiezienia. Późnym popołudniem byli już zadowoleni w największym apartamencie prywatnym rezydencji, który składał się z sypialni i przylegającego doń saloniku. Z balkonu otwierał się wspaniały widok na ocean.

Elinor zdążyła już ustalić z Maurice'em, jak zaaranżować wnętrza w penthousie i ekipa dekoratorów miała przystąpić do pracy następnego dnia.

- Petersonowie zgodzili się zostać w Buena Vis-ta - Ross oznajmił wieczorem decyzję gospodyni i szofera - aczkolwiek Lydia miała pewne zastrzeżenia. Uważa, że jej nie lubisz.

- Nie znam jej prawie - zachnęła się Gina.

- Niełatwo nawiązać z nią kontakt, jest taka zamknięta. Odniosłam wrażenie, że to raczej ona mnie nie akceptuje.

- Nie jesteś aby przeczulona?

Gina spojrzała na odbicie męża w lustrze toaletki. Widok nagiego, wyciągniętego na łóżku Rossa nie nastrojał raczej do sprzeczek.



- Wiesz, że to moje płodne dni? - zapytała, bo to było ważniejsze niż jej relacje z Lydią.
- Teraz już wiem - odparł Ross bardziej rozbawiony niż rozczarowany. - Jakoś sobie poradzimy.

I poradzili sobie doskonale, tak jak obiecał.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pierwszy tydzień minął nie wiadomo kiedy. W piątek odbyło się kolejne zebranie zarządu, na którym Gina była obecna, ale nie zabierała głosu. Słuchała wypowiedzi pozostałych osób.

- Wygląda na to, że między tobą i Rossem wszystko dobrze się układa. - Warren Boxhall zajrzał na chwilę do jej gabinetu przed wyjściem z biura.

- A niby dlaczego miałyby źle się układać? Jesteśmy zaledwie trzy tygodnie po ślubie.

- Różnie bywa - odparł Warren. - Moje małżeństwo rozpadło się w czasie miesiąca miodowego.

- Które? - zapytała Gina ze śmiechem.

- Ostatnie, na które się odważyłem. Potem już wolałem nie ryzykować. Zbyt kosztowne doświadczenie.

- Widocznie nigdy nie spotkałeś odpowiedniej osoby.

- Owszem, spotkałem. - Tu Warren westchnął teatralnie. - Niestety za późno.

Gina znowu się zaśmiała.

- Jeśli chcesz mnie w ten sposób zmiękczyć, to uprzedzam, że ci się nie uda. Nie chcę żadnych zmian w firmie.

- Ty może nie, Ross też nie, ale ja cienko przędę. Pamiętaj, że płacę alimenty trzem byłym żonom.

- Ciesz się, że z żadną z nich nie masz dzieci.

- Gina nie potrafiła zdobyć się na współczucie.

Tym razem westchnienie Warrena nie było udawane.

- Jesteś twarda, ale ja jeszcze znajdę sposób na ciebie.

Nie łudź się, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Ross znowu jadł lunch z Isabel Dantry. Nie zaproponował, by Gina przyłączyła się do nich, a ona sama nie chciała się narzucać, tym bardziej że umówiła się z Elinor, która nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pokaże Ginie nowy wystrój apartamentu w Beverly Hills Harlow.

- Nie byłam początkowo pewna tych zasłon

- mówiła Elinor, oprowadzając Ginę - ale Maurice twierdzi, że kolor starego złota będzie najlepszy, jeśli chcę odpowiednio wyeksponować moją kolekcję obrazów. Wybacz, że w domu zostały puste ściany, ale to wszystko są prezenty od Olivera.

- Nie przepraszaj - uspokoiła ją Gina. - Poza obrazami nie wzięłaś absolutnie nic. Może jednak chciałybyś przenieść tu coś z domowych mebli? ... - Nie, Maurice mi to wyperswadował. Przekonał mnie, że lepiej będzie zaaranżować całość od początku. Chciał mieć absolutnie wolną rękę.

- Spotkaliśmy na Barbados kogoś, kto projektował dla ciebie wnętrza w Buena Vista - powiedziała Gina. - Pamiętasz Samanthę Barton?

Elinor zmarszczyła brwi.

- Och, tak! Robiła coś dla mnie trzy lata temu. Maurice'a nie było wtedy akurat w kraju. Urządziła dwie sypialnie dla gości, ale gdzie jej tam do Mauri-ce'a. Była na wakacjach na Barbados?

- Mieszka tam, prowadzi swoje studio i chyba dobrze się jej wiedzie.
- Miło słyszeć.

Elinor najwyraźniej nie była zainteresowana tematem. Samantha pojawiła się w jej życiu i zniknęła, najpewniej też nic nie łączyło jej z Rossem. Gina uznała, że też powinna o niej zapomnieć.

Apartament był gotowy i Elinor miała przeprowadzić się tam następnego dnia. Kiedy cała trójka zasiadła do pożegnalnej kolacji na tarasie w Buena Vista, Gina zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie brakować jej teściowej. Zbliżyły się do siebie i od jakiegoś czasu Elinor namawiała Ginę, żeby zajęła się działalnością charytatywną. Gina poważnie rozważała jej propozycję: praca dobroczynna odpowiadała jej znacznie bardziej niż świat wielkiego biznesu. Przy kolacji powiedziała, że tak, zajmie się dobroczynnością, chce robić coś użytecznego. Elinor była zachwycona jej decyzją, a Ross zareagował po swojemu, mówiąc, że ma wolną rękę i może zajmować się tym, na co ma ochotę.

Po kolacji, kiedy zostali sami, wrócił jednak do tematu: chciał wiedzieć, dlaczego Gina dokonała takiego właśnie wyboru.

- Skoro nie zostanę w Los Angeles, nie ma sensu, żebym angażowała się zbyt w sprawy firmy - wyjaśniła.

- Jak chcesz - odparł obojętnie i dodał: - Zanim zapomnę, mamy zaproszenie na premierę nowego filmu Diony Richards. Powinnas sprawić sobie jakąś kreację na tę okazję.

- Nie martw się, nie sprawię ci zawodu - sarknęła, chociaż wiedziała, że Ross nie to miał na myśli.

On też nie próbował się tłumaczyć, po prostu wzruszył ramionami i na tym rozmowa się skończyła.

Jeszcze nie tak dawno temu perspektywa pójścia na hollywoodzką premierę wprawiłaby ją pewnie w zachwyt, myślała Gina smętnie. I teraz może potrafiłaby się cieszyć, gdyby chodziło o inny film, inną aktorkę. Ale wtedy nie poszliby prawdopodobnie na premierę. Jakoś nie wierzyła, by Ross regularnie uczestniczył w tego rodzaju wydarzeniach.

Oczywiście wybierze się na tę uroczystość. Gdyby odmówiła, Diona miałaby powód triumfować, a takiej satysfakcji Gina nie zamierzała je dawać.

- Mam wrażenie, że ją stąd wypędziliśmy - dręczyła się Gina, pożegnawszy Elinor następnego dnia.

- To ona chciała się wyprowadzić - przypomniał jej Ross.

- Dla ciebie wszystko jest takie oczywiste. Elinor przeżyła w tym domu swoje najlepsze lata. W twoim życiu nie ma miejsca na wrażliwość?

- W moim życiu nie ma miejsca na czułość. - W głosie Rossa zabrzmiało zniecierpliwienie. - Mam nieskromne wrażenie, że znam swoją matkę trochę lepiej niż ty. Gdyby nie chciała opuszczać tego domu, nie zrobiłaby tego. Proste.

Gina uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Teraz, kiedy jesteśmy tu gospodarzami, należałoby wydać przyjęcie. Niewielkie, na sześć,

osiem osób. Co o tym sądzisz? - zagadnęła.

- Proszę bardzo, zajmij się tym. Tylko nie urządź mi przyjęcia urodzinowego. Jestem za stary na zdmuchiwanie świeczek z tortu.

- Nie wiedziałam, że zbliżają się twoje urodziny. Które?

- Trzydzieste piąte. Za dwa tygodnie. - Uśmiechnął się nieznacznie. - A ty kiedy masz urodziny?

- W październiku. Za trzy miesiące.

- Jeśli liczysz, że do tego czasu będziemy już po rozwodzie, to muszę cię rozczarować. W tak krótkim czasie moglibyśmy uzyskać rozwód tylko w Reno, ale nie byłby ważny poza granicami Stanów.

Gina patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

- Jak długo musimy czekać? - zapytała w końcu.

- Przynajmniej rok - odparł spokojnie.

- Rok?

- Niestety, moja droga. Musisz się z tym pogodzić. Mogłoby być gorzej.

Z jej punktu widzenia nie mogło być gorzej. Jak ma przeżyć cały rok z człowiekiem, z którym łączy ją tylko łóżko? Znosić Diony Richards i inne damy?

- To nie znaczy, że mamy mieszkać ze sobą do końca. - Szukała jakiegoś wyjścia z impasu. - Równie dobrze możemy rozstać się wcześniej. Twoja matka powinna zrozumieć, jeśli jej wytłumaczymy, że między nami się nie układa.

- Poczekamy, zobaczymy, dobrze? - To była cała odpowiedź Rossa.

Na premierę wybrała suknię od Versace: prostą złotą tunikę z podniesionym stanem, ładnie podkreślającą szczupłą sylwetkę. Włosy upięła w rzymski kok. Nigdy nie wyglądała lepiej.

- Oliver byłby z ciebie dumny - zachwycił się Ross, kiedy zobaczył ją gotową do wyjścia. - Chyba dobrze wybrałem - dodał, otwierając szufladę szafki nocnej, z której wyjął obciążone aksamitem pudełko.

Znajdował się w nim ciężki naszyjnik z kutego srebra i kolczyki do kompletu.

- Jesteś dla mnie taki dobry! - rozczuliła się.

Jeśli wyczuł ironię w jej słowach, nie dał nic po sobie poznać.

- Chodźmy już - powiedział. - Jeśli zostaniemy chwilę dłużej, zniszczę ci fryzurę.

Fryzura akurat najmniej obchodziła ją w tej chwili, ale Ross miał rację: oboje ciągle stanowili obiekt zainteresowania mediów i musieli dbać o wizerunek.

Kiedy już przebrnęli przez tłum reporterów cisnących się pod kinem i w foyer, przywitał ich Sam Walker, informując, że Diony jeszcze nie ma, ale żeby zajęli już miejsca na sali, jeśli chcą uniknąć wszechobecnych kamer telewizyjnych.

Diona wreszcie się pojawiła, olśniewająca, uśmiechnięta, we wspaniałej szkarłatnej sukni, i seans się rozpoczął.

Gina z trudem nadążała za tym, co dzieje się na ekranie. Zamiast śledzić akcję, pochłonięta była samą Dioną, która rzeczywiście nie była najlepszą aktorką, jak to zauważyła kiedyś Meryl, ale miała w sobie magiczną siłę.

Po projekcji odbyło się przyjęcie w domu szefa wytwórni, ogromnej rezydencji z lat dwudziestych, brzydkiej, jak niemal wszystkie hollywoodzkie rezydencje z tego czasu, ale niepozabawionej charakteru.

W pewnym momencie Ross zostawił Ginę z Anną i Carlem Sindenami, parą producentów filmowych, powiedział, że idzie po drinki. I przepadł.

Minęło dwadzieścia minut, pół godziny, a on ciągle nie wracał. Gina po raz kolejny zerknęła dyskretnie na zegarek i nie wytrzymała: przeprosiła Sindenów i poszła szukać męża.

Nigdzie nie mogła go znaleźć, Diony też nie dostrzegła. Jeśli tych dwoje jest teraz razem w którejś sypialni na górze...

- Wszędzie cię szukam - usłyszała dobrze znany głos i poczuła, jak Ross obejmuje ją ramieniem.

- Zostawiłem cię na tarasie.

- Mniej więcej czterdzieści minut temu - uświadomiła mu. - Miałeś przynieść mi drinka.

- Ktoś mnie zatrzymał i odstawiłem szklanki gdzieś na bok. Ale widzę, że nie nudziłaś się beze mnie.

- Jesteś, synu, prawdziwym szczęściarzem - odezwał się starszy pan z grupki, w której stali.

- Wiem. Większym, niż na to zasługuję - powiedział Ross i delikatnie odciągnął Ginę od towarzystwa.

- Co się z tobą działo? - napadła na niego, kiedy nikt nie mógł już ich usłyszeć. - Myślałam, że wróciłeś do domu.

- W takim tłumie nietrudno przepaść - zbył wyrzuty żony. - Masz już dość, czy chcesz zostać tu jeszcze trochę?

Gina nie odpowiedziała: wpatrywała się w kobietę, która pojawiła się właśnie w drzwiach salonu.

- Ależ zostanmy jeszcze - powiedziała lekkim tonem. - Wspaniałe przyjęcie!

Ross przyjrzał się jej i wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz.

Wyszli z bankietu około pierwszej, razem z ostatnimi gośćmi.

Michael drzemał w limuzynie i Gina zaczęła go przeproszać, że musiał czekać tak długo.

- Nie trzeba przeproszać, madame - bąknął kilka razy, wyraźnie speszony.

- Wprawiłaś go w zakłopotanie - zwrócił jej uwagę Ross, kiedy siedzieli już w samochodzie, odgrodzeni od szofera dźwiękoszczelną szybą.

- Uważasz, że służbie nie należą się przeprosiny? - odparowała.

- Płacę mu za to, co robi, i to całkiem nieźle. Poza tym nie siedział cały czas w aucie. Kierowcy

dostali poczęstunek w jadalni dla służby.

- Nie wiedziałam o tym. Po prostu wydawało mi się, że nadużyliśmy jego cierpliwości.

- Może powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej. - Ross zmienił ton. - Skąd ta chęć, żeby zostać do końca? Nie bawiłaś się dobrze.

- Będziesz teraz próbował czytać w myślach?

- Wystarczy, że potrafię czytać język ciała. Cały wieczór byłaś napięta jak struna. Powiesz mi, o co chodzi?

- O nic. - Zamknęła oczy. - Obudź mnie, kiedy dojedziemy do domu.

Ross zaklął pod nosem. Niech się złości, powiedziała sobie. Kiedy limuzyna zatrzymała się przed domem,

Gina wysiadła natychmiast i poszła na górę, nie oglądając się za siebie.

Myślała, że Ross idzie za nią, ale on pojawił się w sypialni dopiero pół godziny później, kiedy leżała już w łóżku.

- Śpij - rzucił krótko, kładąc się obok niej. - Ja też nie mam nastroju.

Powinna poczuć ulgę, ale pomimo wszystko nadal go pragnęła.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Przyjęcie chyba się udało - powiedział Ross, kiedy odjechali ostatni goście.
- Też tak myślę - przytaknęła Gina.

W ostatnich dniach prawie ze sobą nie rozmawiali. Ross od dnia premiery nie próbował jej nawet dotknąć i nie wracał już do ich konfliktu, a Gina czekała, uważając, że to on powinien zrobić pierwszy krok.

Z drugiej strony zazdrość, która kazała jej zachować się tak, jak się zachowała, mogła być zupełnie nieuzasadniona. Poza jednym telefonem nie miała żadnych dowodów na to, że Diona i Ross utrzymują ze sobą kontakt. Wiedziała jedno: tak dalej być nie może.

- Możemy spisać tamten wieczór na karb napięcia przedmiesiączkowego? - zapytała, próbując obrócić całą sprawę w żart.

- PMS w środku cyklu? - zdziwił się Ross. - To się zdarza?

- Nie zdarza się, ale nie mam lepszego usprawiedliwienia - przyznała Gina. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Ross uśmiechnął się lekko.

- Mam rozumieć, że już między nami zgoda?

- Jeśli tylko tego chcesz.

- To chyba oczywiste. - Obrócił ją ku sobie i pocałował, a Gina postanowiła, że od tej chwili koniec z zaborczością.

Następnego dnia rano zadzwoniła Meryl, żeby podziękować za wspaniały wieczór.

- Wczoraj w rozmowie wspomniałaś coś o wyjeździe do Anglii. Naprawdę zamierzasz tam jechać?

- Być może. - Gina nie chciała przyznać się wprost, że poprzedniego wieczoru kłamała. - Stęskniłam się za rodzicami. - Co akurat było prawdą.

- Nie siedź tam za długo - powiedziała Meryl i rozłączyła się.

Czyżby próbowała zasugerować coś, czego nie mogła albo nie chciała wyartykułować wprost? - zastanawiała się Gina, idąc na basen.

Wyciągnęła się na leżaku pod ogromnym parasolem, otworzyła książkę, ale odłożyła ją po przeczytaniu kilku akapitów. Musiała się zdrzemnąć, bo nie słyszała nadejścia Roxany. Ocknęła się dopiero na dźwięk swojego imienia.

- Podoba ci się życie, które mi ukradłaś? - zagadnęła tamta z jawną pogardą.

- Nie ukradłam ci życia. Ty je przegrałaś - odparła rzeczowo Gina i usiadła wyprostowana. - Jesteś sama?

- Jeśli pytasz o faceta, z którym mieszkałam, to rzuciłam go tydzień temu. Gdzie moja matka?

- Mieszka teraz w Beverly Harlow, a my tutaj. Zamieniliśmy się.

- Słucham? - Roxana osłupiała.

- To był pomysł Elinor. Po części Rossa, prawdę mówiąc, ale podchwyciła go natychmiast.

Urządziła apartament na nowo i...

- Ty podstępna... - Roxana powstrzymała się w ostatniej chwili przed obelgą. - Wydaje ci się, że wszystko jest twoje, tak? Ross także! Nie myśl sobie, że możesz nim dyrygować.

- Idź już stąd, proszę.

- Jasne, zaraz pójdę. Ross się z tobą ożenił, żeby zabezpieczyć firmę, ale i tak nie możesz się równać z Dioną. - Odwróciła się i odeszła.

Prymitywne, pełne jadu słowa Roxany umocniły tylko w Ginie jej najgorsze obawy.

Po południu zadzwoniła Elinor; Roxana złożyła jej wizytę.

- Nie było to raczej czułe spotkanie. Nie wiem, jak udało mi się urodzić dwoje tak zupełnie różnych dzieci. Rozumiem, że u ciebie też była. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowała.

- Nie, obyło się bez niemiłych scen - skłamała gładko Gina. - Wiesz może, gdzie się zatrzymała?

- Ma swoje mieszkanie w Glendale, które Oliver kupił jej po śmierci Gary'ego. Pytałam ją o ten dług, o którym wspominałaś, ale powiedziała, że to już załatwione.

Ciekawe przez kogo, pomyślała Gina.

- Dobrze, że się odezwała - powiedziała. - Wiem, jak bardzo martwiłaś się o nią.

- Nie potrafię inaczej, chociaż ona tego nie docenia. Dobrze, że przynajmniej Ross nie daje mi powodów do żalu. - Elinor ożywiła się, głos zabrzmiał pogodniej. - Co powiesz na wspólny lunch jutro po zebraniu naszego komitetu?

- Wspaniale. - Tu przynajmniej Gina nie musiała kłamać.

- Zatem do jutra.

Zaraz potem zadzwonił Ross. Zarezerwował stolik w Spago i prosił, żeby Gina była gotowa przed siódmą: przyjedzie po nią i zabierze na kolację.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że chcesz jechać do Anglii? - napadł na nią, kiedy o szóstej trzydziści wyszła spod prysznic. - Dlaczego muszę dowiadywać się o twoich planach od innych ludzi?

- Nie mam żadnych planów - próbowała bronić się Gina. - June namawiała mnie, żebyśmy popłynęli z nimi w rejs statkiem wycieczkowym, więc wymyśliłam wyjazd do Anglii, żeby jakoś się wykryć.

- Jeśli tak było, powinnaś rzecz wyjaśnić Meryl, kiedy rozmawiałaś z nią dzisiaj rano.

W oczach Giny zapaliły się gniewne błyski.

- Nie miała prawa dzwonić z tym do ciebie.

- Martwi się. Odebrała to jako sygnał, że między nami coś się nie układa.

- Mam nadzieję, że uspokoiłeś troskliwą Meryl. Chyba że wtajemniczyłeś ją w nasz układ.

- Nasz układ jest wyłącznie naszą sprawą - stwierdził Ross krótko. - Nie mam nic przeciwko twojemu wyjazdowi do Anglii, chciałbym tylko, żebyś informowała mnie o swoich planach.

I pomyśleć, że nie tak dawno to ona wyrzucała Rossowi, że nie uzgadnia z nią swoich decyzji.



Spago w Beverly Hills, gdzie Ross zarezerwował stolik, było bardzo popularną restauracją wśród hollywoodzkich gwiazd i Gina w drodze do stolika zauważyła trzy znane z ekranu twarze.

Dionę, siedzącą w rogu sali z kolegą aktorem, Markiem Lesterem, dostrzegła dopiero po chwili. Ross siedział odwrócony do nich plecami, nie mógł ich widzieć, ale Gina gotowa była założyć się, że wiedział o obecności swojej przyjaciółki.

W każdym razie dowiedział się, kiedy podszedł do niego maitre z informacją, że panna Richards i pan Lester zapraszają ich oboje do swojego stolika. Ross grzecznie podziękował, zaproszenia nie przyjął, nie spojrzął nawet w stronę Diony.

Tego Gina się nie spodziewała. Czyżby jej podejrzenia były nieuzasadnione? Co takiego zrobiła Diona, że zasłużyła sobie na lekceważenie Rossa? Obraził ją publicznie, nie przyjmując zaproszenia. Nie rób sobie wielkich złudzeń, przestrzegała się w myślach, ale promyk nadziei już się zapalił.

Kiedy wychodzili po kolacji ze Spago, Diona nadał siedziała przy swoim stoliku. Gina zerknęła w jej stronę i napotkała pełne wrogości spojrzenie. Nieważne. Ross nie mógł wyraźniej okazać swojego lekceważenia dla Diony. Tylko to się liczyło. W tej chwili to było dla Giny najważniejsze.

Następnego dnia po swoich urodzinach Ross musiał lecieć do Nowego Jorku, żeby negocjować warunki umowy zbiorowej z przedstawicielami związków zawodowych, jak wyjaśnił Ginie.

- Nie może ktoś inny tego zrobić? - zmartwiła się.
- Nie. To zbyt poważna sprawa.
- Jak długo tam zostaniesz?
- Tak długo, aż osiągniemy kompromis. Kilka dni, tydzień, trudno powiedzieć.

Chciała zaproponować, że poleci z nim, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nawet gdyby się zgodził, w co wątpiła, miała swoje zobowiązania w Los Angeles.

- Mogłabyś kilka dni spędzić z matką - zasugerował. - Będzie szczęśliwa, że ma cię koło siebie.
- Dam sobie radę - fuknęła, zła, że Ross traktuje ją jak dziecko, którego nie można zostawić bez opieki.

Wyleciał o ósmej rano. W Nowym Jorku miał lądować o czwartej trzydzieści tamtego czasu. Gina liczyła, że po południu zadzwoni choćby po to, by powiedzieć, że wylądował szczęśliwie. Do szóstej, kiedy zadzwoniła Elinor z propozycją wspólnej kolacji, jeszcze się nie odezwał.

- Typowy mężczyzna - stwierdziła Elinor, kiedy Gina powiedziała jej, że Ross zapomniał zatelefonować. - Oliver był taki sam. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego potem mam do niego pretensje.

Gina pojechała na kolację do Elinor. Siedziały już przy kawie na balkonie penthouse'u, kiedy Ross wreszcie raczył się odezwać.

- Dzwoniłem na numer domowy - zaczął niemal z urazą. - Gdzie jesteś?
- U twojej matki. U ciebie musi być już bardzo późno.
- Za dwadzieścia dwunasta. Dopiero teraz jestem wolny. Sytuacja nie wygląda dobrze. Związki nie chcą iść na żadne ustępstwa. Zostaniesz u mamy?

- Nie. - Gina przerwała, słysząc jakieś dźwięki w tle. - Co to jest? Ktoś się śmieje.  
- Tak. To żona naszego dyrektora. Kończymy właśnie kolację. Rozumiem, że rano zastanę cię w domu. Będę dzwonił. - I Ross się rozłączył.

- Złe wieści? - zapytała Elinor niespokojnie.  
- Mają kłopoty ze związkami.  
- Problemy, problemy, ciągle problemy - westchnęła Elinor. - OHver był taki sam. Zawsze musiał być na miejscu, wszystko załatwiał osobiście. Czas, żebyś zaczęła okazywać stanowczość i wytłumaczyła mu, że ręczne sterowanie nie musi być najlepszym sposobem zarządzania firmą.

- Ciekawa jestem, jak by zareagował.  
- Nie mówię, że uda ci się od razu. Mnie zajęło to lata.

Gina wróciła do domu bez przeszkód. Od dnia ślubu nie spędziła jeszcze żadnej nocy sama. Spała niespokojnie i obudziła się o siódmej. O pierwszej miała lunch charytatywny, na który najchętniej by nie poszła, ale skoro już podjęła się tej pracy, nie chciała wymigiwać się od obowiązków.

Z domu musiała wyjść o dziesiątej. Za kwadrans dziesiąta nadal nie miała telefonu od Rossa. Nie mogąc się doczekać wiadomości od niego, zadzwoniła do nowojorskiego Harlow i poprosiła o połączenie.

Po bardzo długiej chwili operator przeprosił i wyjaśnił, że pana Harlowa nie ma w hotelu, po czym zapytał, czy Gina chce zostawić wiadomość.

Podziękowała i odwiesiła słuchawkę, zła, że w ogóle telefonowała do Nowego Jorku. Ross najwyraźniej znowu o niej zapomniał.

Lunch charytatywny udał się nadspodziewanie dobrze, wpłynęło sporo datków. Gina na czas spotkania wyłączyła telefon. Kiedy go później uruchomiła, okazało się, że ma wiadomość w poczcie głosowej.

- Dzwoniłem do domu, ale już cię nie zastałem - mówił Ross. - Spróbuję jeszcze zadzwonić później.

Po lunchu wybrała się na zakupy z Elinor i do domu wróciła o siódmej. Przejrzała pocztę, którą Michael zostawił na stoliku w hotelu. Wszystkie listy adresowane były do Rossa, jedna tylko koperta, bez znaczka, doręczona kurierem, adresowana do niej. W środku Gina znalazła kserokopię notatki z rubryki plotkarskiej nowojorskiego dziennika.

W Nowym Jorku pojawił się znany właściciel sieci hoteli w towarzystwie wielkiej gwiazdy, z którą łączył go kiedyś gorący romans. Czyżby uczucie odżyło? A może nigdy nie zgasło?

Gina nie potrafiła powiedzieć, jak długo stała w holu, wpatrując się w kartkę.

Z jakichś powodów zlekceważył Dionę w Spago, ale nie zerwał z nią kontaktów. A ona albo już czekała na niego w Nowym Jorku, albo poleciała tam z nim. Gina nie mogła wiedzieć, czy się umówili, czy spotkali przypadkiem i czy problemy ze związkami nie były tylko pretekstem.

Notatka z nowojorskiej gazety została skserowana i prefaksowana do jakiejś firmy kurierskiej w Los Angeles.

Cierpliwość ma swoje granice.

Niewiele myśląc, Gina zadzwoniła na lotnisko i zarezerwowała miejsce w najbliższym samolocie lecącym do Nowego Jorku. Konfrontacja, tylko o tym myślała. Musi doprowadzić do konfrontacji, wyjaśnić raz na zawsze niedomówienia. Co będzie potem, nad tym już się nie zastanawiała i było jej to w tej chwili zupełnie obojętne.

W samolocie udało się jej nawet zdrzemnąć trochę, a kiedy zaczęli podchodzić do lądowania, była bliska rezygnacji ze swojego planu, ale powiedziała sobie kategorycznie, że musi rzecz doprowadzić do końca. Ross był jej winien wyjaśnienie. W końcu to dzięki ich małżeństwu zachował pełną kontrolę nad firmą.

Wylądowała w pochmurnym Nowym Jorku o szóstej rano. W kioskach na La Guardia były jeszcze gazety z poprzedniego dnia: wszystko się zgadzało, kserokopia nie została spreparowana. Ross nie czytał z całą pewnością rubryk plotkarskich w dziennikach i nie miał o niczym pojęcia.

Bardzo dobrze, myślała z narastającym gniewem.

Wzięła taksówkę, która zdawała się całe wieki jechać przez ulice Manhattanu, wysiadła przed Harlow, przedstawiła się kierownikowi recepcji i z kartą magnetyczną w dłoni wjechała na dziesiąte piętro. Dokładnie o siódmej dwadzieścia pięć wkroczyła do apartamentu Rossa, przeszła do sypialni i jednym ruchem odciągnęła ciężkie zasłony w oknie.

Wyrwany ze snu Ross usiadł w pościeli i dopiero teraz Gina ochłonęła. Przyleciała tutaj sprowokowana notatką, w której nie padały nazwiska.

- Co się stało? - zapytał Ross nieprzytomnie.
- Nic się nie stało - skłamała. - Pomyślałam, że przylecę do ciebie.
- Nocnym samolotem?
- Nagłe postanowienie. - Próbowała się zaśmiać. - Wiem, to szaleństwo.

Ross spojrzął na zegarek.

- Zamawiałem budzenie na siódmą.
- Widać ktoś się zagapił - stwierdziła Gina lekkim tonem. - Polecą głowy.
- Bardzo możliwe. Kto cię wpuścił?
- Nikt. Dostałam kartę w recepcji.
- Ot tak., po prostu?
- Przedstawiłam się.

Ross wstał i ruszył do łazienki.

- Wezmę prysznic, a ty zamów tymczasem śniadanie dla nas.
- Jadłam w samolocie.
- W takim razie zamów dla mnie, proszę. Kiedy Ross zamknął drzwi za sobą, Gina wróciła

do saloniku, zdjęła żakiet od kostiumu, który miała na sobie cały poprzedni dzień. Usiłowała zaprowadzić jakiś ład w rozgorączkowanej głowie. To, że nie zastała Diony w łóżku z Rossem, nie stanowiło jeszcze dowodu jego niewinności. Z drugiej strony nie zachowywał się jak mąż przyłapany

na zdradzie. Był zaskoczony, to wszystko.

Ross wyszedł z sypialni ubrany w spodnie od garnituru i białą koszulę.

- Nie mów tylko, że nie powinnam była się tu pojawić. To był impuls. Zwariowany pomysł.

Przez twarz Rossa przemknął uśmiech.

- Znam bardziej zwariowane pomysły. Wyglądasz wyjątkowo dobrze jak na kogoś, kto spędził noc w samolocie.

- Kobieta ma ten luksus, że może dokonać pewnych korekt za pomocą pudru w kremie. Zamówiłam ci pełne angielskie śniadanie. Jeśli przesadziłam, po prostu zostawisz, czego nie zdołasz zjeść.

- Zmieniłaś postawę. Czego człowiek nie zmarnuje, tego mu nie brakuje. Nie takim ludowym porzekadłem uraczyłaś mnie pierwszego dnia?

- Masz dobrą pamięć. Musiałam ci się jakoś przeciwstawić.

Rozległo się pukanie do drzwi i kelner wtoczył do pokoju wózek ze śniadaniem, po czym szybko się wycofał, rzucając ciekawe spojrzenie na Ginę.

- Pewnie się zastanawia, co tu robię?

- Sam jeszcze nie potrafię do końca odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ale skoro już jesteś, wykorzystajmy to, na ile można, chociaż wielkiego pożytku nie będziesz ze mnie miała. Spotkanie ze związkowcami zaczyna się o dziewiątej. Znosi się na trudne, żmudne rozmowy.

Gina usiadła naprzeciwko Rossa i posmarowała sobie grzanek masłem. Skłamała, mówiąc, że jadła śniadanie w samolocie i teraz głód zaczął dawać znać o sobie.

- Nie widzę żadnego bagażu.

- Nie mam bagażu. - Gina próbowała się zaśmiać. - Mówiłam ci, czyste wariactwo.

Ross pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie będzie już usiłował szukać racjonalnych wyjaśnień.

- Moja matka wie, że przyleciałaś?

- Nie. - Nie dodała już, że Petersonowie też nic nie wiedzą.

- Zadzwoń do niej, zanim zawiadomi federalnych, że zostałam porwana w niewyjaśnionych okolicznościach. - Przyglądał się jej przez długą chwilę, coś chciał powiedzieć, ale rozmyślił się i wstał od stołu. - Porozmawiamy później.

- O czym? - zainteresowała się.

- O całej sytuacji - powiedział zmęczonym głosem.

Ma dosyć ich „układu”, pomyślała, to oczywiste. Ona też miała dosyć. Im wcześniej się rozstaną, tym lepiej.

Ross sięgnął po swoją teczkę. Kiedy ją unosił, zrzucił leżącą na fotelu torebkę Giny, wysypując zawartość na podłogę. Przyklęknął i zaczął zbierać rozsypane drobiazgi.

- A to skąd się wzięło? - zapytał, rozprostowując kserokopię notatki prasowej.

- Ktoś przysłał wczoraj do domu - powiedziała głuchym głosem. - Nie wiem kto.

- Ja natomiast wiem świetnie. Przeczytałaś to i pomyślałaś, że umówiłem się w Nowym Jorku z Dioną?

Gina bezradnie wzruszyła ramionami.

- Tak.
- Od jak dawna podejrzewałaś, że się z nią spotykam?
- Chyba cały czas.
- I nie przyszło ci do głowy zapytać mnie wprost?
- Mieliśmy żyć każde własnym życiem - przypomniała mu. - Powiedziałbyś, że to nie moja sprawa.

- Może tak bym powiedział na początku. Myślałem, że ten etap mamy już za sobą.

- To znaczy, że nie widzisz się z nią?

- Nie.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Myślałem, że odpowiedź jest oczywista. Przestałem się nią interesować, kiedy zakochałem się w swojej żonie. - Pokręcił głową, widząc, że Gina chce coś powiedzieć. - W porządku, wiem, że ty nie odwzajemniasz tych uczuć.

Gina nie wiedziała, śmiać się czy płakać.

- Ja zakochałam się w tobie znacznie wcześniej. A potem umierałam z zazdrości o Dionę. Trudno konkurować z damą, którą uznano za najpiękniejszą kobietę świata.

- Diona jest produktem przemysłowym - powiedział Ross cicho. - Nie może konkurować z naturalnym pięknem. - Otworzył ramiona, a Gina zarzuciła mu ręce na szyję.

- Strasznie spóźnisz się na spotkanie - mruknęła, leżąc w objęciach Rossa.

- Mogą poczekać. - Pocałował ją w czoło. - Wszystko może poczekać. Mam tu znacznie ważniejsze sprawy. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś o twoim wyglądzie może czuć się zagrożony przez inną kobietę.

- Wy, mężczyźni, wiecie tak niewiele.

- Na to wygląda. - Ross zamilkł na moment. - Ten kto wysłał faks, wyświadczył nam wielką przysługę. - To podobne do Diony, ale równie dobrze może być dziełem Roxany. Są bardzo do siebie podobne. Dlatego tak dobrze się porozumiewają.

- Roxana mnie nienawidzi - powiedziała Gina.

- Nienawidzi cię, bo uważa, że dostałaś to, co jej się należało, a mnie nienawidzi dlatego, bo powiedziałem jej, że jest odpowiedzialna za śmierć Gary'ego.

- Ale nie odwrócisz się od niej całkiem?

- Jeśli będzie miała kłopoty, może na mnie liczyć, ale jeśli będzie próbowała swoich podłych sztuczek, to sam ją wpędzę w kłopoty po samą szyję. Dała ci się już we znaki, prawda?

- Nieważne. Teraz ze wszystkim jestem w stanie sobie poradzić.

Ross zaśmiał się.

- Ja też - przytaknął. - Były momenty, kiedy już myślałem, że to uczucie siły, którą ludzie dają sobie nawzajem, nas ominie. Na przykład wtedy, kiedy ci powiedziałem, że rok trzeba czekać na rozwód, a ty zdawałaś się zdruzgotana tą wiadomością. Zresztą kłamałem wtedy. Naprawdę nie wiem, jak długo trwa postępowanie. Chciałem dać nam trochę czasu.

Nachylił się i pocałował Ginę.

- Będziemy żyli razem długo i szczęśliwie, pani Harlow. Nigdy wcześniej nikogo tak nie kochałem. Tak prawdziwie. Wierz mi.

- Wierzę - powiedziała zdławionym głosem. - Ja też nie kochałam nikogo przed tobą.